Nr. 31. Poznań, Niedziela dnia 4-go Sierpnia 1901 r. Rok V.

PRACA

Tygodnik illustrowany

Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 m.;** *na poczcie w Austro-Węgrzech* **1 kor. 73 hal.**
Pod opaską: w Niemczech **1,90 mr.,** *w Austro-Węgrzech* **2 kor. 30 hal.** *za Oceanem* **1 dolar 25 cent.**
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Patrzmy w serca ludu.

Do wydawcy pisma naszego udało się niedawno kilku przedstawicieli z sfer rzemieślniczych z Poznania z ubolewaniem nad rozterką, w jakiej serca dzieci naszych znajdują się w obec nauczania religii w niemieckim języku. Jestto niebezpieczeństwo wielkie dla moralnego wychowania dzieci, a zarazem zawikłanie, z którego wynika rozgoryczenie niezmierne.

Prasa nasza, którą w ostatnich czasach tyle zajmowało przedmiotów pierwszorzędnych, nie jest zupełnie wiernem odbiciem nastroju, jaki ze wspomnianej przyczyny panuje.

Prasa codzień ma nowe zagadnienia, które poruszać musi, ale w sercach ludu wciąż niezmiennie tkwi ów jeden ból, i przybiera rozmiary coraz większe. — Sprawę tę tylokrotnie już poruszyliśmy, dzisiaj nową nam do tego dają podnietę dowody rozgoryczenia, zewsząd nam przesyłane. Lud nie umie sam wyjść z trudnego położenia i szuka rady i próżno się mozoli.

Dowody tych usiłowań, by znaleść drogę wyjścia, podaliśmy i podajemy znowu w piśmie naszem. W przeszłym numerze drukowaliśmy mowę jednego z obywateli na Gostyńskim wiecu. Rozpaczliwie chwyta się mówca środków, które są wręcz bezskuteczne i niemożliwe. — Wspominamy tylko prośbę skierowaną ku Ks. Arcypasterzowi, aby odebrał misyą kanoniczną nauczycielom, środek, który podkopałby władzę duchowną. W dzisiejszym numerze w „Głosach od przyjaciół“ podajemy podobny protest ojca polskiego przeciwko szkolnej przemocy.

Redakcya.

Wybory w Nadrenii.

Wybory w nadreńskim okręgu wyborczym Duisburg-Mühlheim-Ruhrort są faktem dokonanym. Dzień 25 lipca 1901 r. pozostanie na długo pamiętną datą w rozwoju kolonii polskich w Westfalii i nad Renem — gdyż w dniu tym, po raz pierwszy Polacy głosowali na swego narodowego kandydata. Był nim zasłużony poseł i wytrawny parlamentarzysta, p. Leon Czarliński z Torunia, nazwisko którego związało się tak z historyą parlamentarnej opozycyi polskiej w Berlinie, że dla wychodźców naszych mogło być niejako sztandarem.

Rezultat liczebny wypadł nadspodziewanie pomyślnie. Na Czarlińskiego padło 2717 głosów.

Poznańska „Praca“ podając pierwsza wychodźcom projekt głosowania na Polaka, obliczyła, że w najlepszym razie Polacy rozporządzają w okręgu tym ilością głosów wahającą się pomiędzy 4-ma a 5-ciu tysiącami. Tyle też, wnosząc z głosowania, w istocie wynosić może ogólna liczba uprawnionych do głosowania Polaków w okręgu Duisburg-Ruhrort-Mühlheim. Uzyskanie blisko trzech tysięcy głosów nazywamy pomyślnym wynikiem, ponieważ

1) Jest to już liczba, która w stosunku głosujących partyi ma pewną swą wagę i znaczenie; nie jest to już owa quantité negligeable, którąby śmiesznością mogła pokryć i samo głosowanie na Polaka i jego projektodawców.

2) Głosowanie na p. Czarlińskiego było pierwszą próbą, eksperymentem, wobec którego niepewność przejmowała koła wyborców, a obawa niepowodzenia ujemnie oddziaływała na branie udziału w głosowaniu.

3) Polski komitet wyborczy w ostatniej chwili niemal, — na 10 dni przed wyborami — zadecydował, aby głosować na Polaka. Stąd niezmiernie mało czasu było na agitacyę przedwyborczą. Niektóre pisma w kraju, jak np. i nasza „Praca,“ nie miały możności nawet podać odezwy komitetu wyborczego. Wszystkie te okoliczności, w połączeniu z brakiem funduszu agitacyjnego, jakkolwiek poważne, nie wpłynęły tak ujemnie na liczbę głosów, jak

4) Kontragitacya ze strony centrowców. Zwolennicy partyi centrum, Niemcy, zapalczywie zdzierali ze-

wsząd polskie odezwy wyborcze i ukonstytuowali w ostatniej chwili podstawiony fałszywy komitet polski, który ogłosił, że ostatecznie Polacy będą głosować na centrowca. Ten podstęp rozgoryczył wprawdzie Polaków i pobudził ich ostatniego dnia do największej agitacyi, ale do powszechnej niepewności dodał jeden czynnik zamętu więcej.

Jeżeli więc w takich warunkach, w głosowaniu po raz pierwszy na Polaka, wśród sieci intryg, Polacy, rozrzuceni w nie wielkiej liczbie po całym znacznym okręgu, zdołali zgromadzić około 60% uprawnionych do głosowania — jest to rezultat, który nazwać można tylko wybornym — co do liczby.

Przypatrzmy się głębszemu znaczeniu tego faktu i zastanówmy się nad jego wynikami.

Hasło do głosowania na Polaka w tym nadreńskim okręgu dane było przez „Pracę" poznańską umyślnie teraz, gdy od głównych powszechnych wyborów w Niemczech zaledwie półtora roku nas dzieli, aby na tym jednym przykładzie się mogło pokazać, czy Polacy w Westfalii i Nadrenii są quantité negligeable przy wyborach, i aby z tej jednej próby można wywnioskować, czy w przyszłych wielkich wyborach opłaci się postawić kandydatury polskie we wszystkich okręgach westfalskich.

Próba nadspodziewanie się powiodła: nie ulega najmniejszej wątpliwości, że za półtora roku ujrzymy nietylko w Nadrenii, ale i w Westfalii *w czterech czy pięciu okręgach kandydatury polskie.*

To pierwszy wynik. Kamień, strącony z góry, potoczy się własnym ciężarem ogarniając coraz większe przestrzenie.

Tu nadmieniam, — *a to jest najważniejsze* — że dokonane dopiero co głosowanie w okręgu Duisburg-Ruhrort-Mühlheim *najmniej mogło liczyć na powodzenie, ponieważ w tym okręgu najmniej jest Polaków.* Eksperyment przedsięwzięty został w okręgu, który najmniej się do tego nadawał. Do okręgu tego nie należy jedyne miasto powiatu, w którem Polaków znaczniejsza liczba mieszka, mianowicie Ruhrort: te blizko *trzy tysiące głosów padły w drobnych osadach, leżących na uboczu życia polskiego w Westfalii.*

W innych (czterech) okręgach wyborczych w Westfalii Polacy rozporządzają dziesięciokrotną niemal liczbą głosów. W powiecie dortmundzkim (na obszarze 273,12 kw. klm.) jest do czterdziestu tysięcy Polaków. To znaczy *minimum,* w najgorszych choćby warunkach, dziesięć tysięcy głosów. W powiecie Recklinghausen jest przeszło 30 tysięcy Polaków, w Bochumskim na przestrzeni zaledwie 138 klm. kw. jest także 30 tysięcy, w Gelsenkirchenskim — to samo, na przestrzeni niespełna 78 kw. klm. — 30 tysięcy. Powiaty Hattingen, Hamm i inne, gdzie Polaków jest po 2—3 tysięcy, pomijamy. To w Westfalii.

A w Nadrenii maleńki powiat Essen liczy przeszło 30 tys. Polaków. Liczby te nie są ani na jedną jotę przesadzone. Opierają się one na studyach najszczegółowszych, które prowadziłem w ciągu półtora roku, a które mnie naprowadziły na myśl, że kwestya wyborów polskich w Westfalii — to kwestya niesłychanie żywotna: dotychczas, w wyborach w Duisburgu, *zaledwie rąbek ukrywającej tę sprawę zasłony uchylił się przed nami.* To przygrywka tylko do tego, co obecnie z pewnością nastąpi.

Polacy w Nadrenii i Westfalii *w pięciu* okręgach wyborczych mają decyzyę w swem ręku, — na czyją stronę przechylą szalę, po tej będzie zwycięstwo.

To znaczy: z chwilą, gdy po raz pierwszy w wyborach, przez oddawanie głosów na swego narodowego kandydata, zadokumentują swą siłę, stają się w polityce *une quantité,* z którą trzeba się liczyć, którą trzeba pozyskać *rekompensatami.*

Stoimy otóż u rozstrzygającego punktu. Fakt, że „Praca" poznańska dała hasło do postawienia narodowego kandydata polskiego, ściągnął na nią szereg zarzutów, że dla idei, którą możnaby nazwać prawie grotesque (wybieranie Polaków w Westfalii) naraża stosunki Polaków z centrum. Nic faszywszego nad takie postawienie kwestyi.

W polityce trzeba się *liczyć.* Dotychczas centrum uważało Polaków westfalskich za ogon swego stronnictwa, który z natury rzeczy musi iść za głową. Jeśli między Polakami a centrum była mowa o wzajemnem poparciu i rekompensatach, to westfalsko-nadreńskie pięć okręgów nie grały tam roli żadnej — wypuszczało się je poprostu z rachuby. Za pomoc w paru okręgach poznańskich centrum otrzymało od Polaków okręg leszczyński, skąd obecnie posłuje centrowiec, ks. Tasch, a gdzie przejść mógł napewno Polak. W człóchowsko-chojnickim okręgu centrum postawiło swego kandydata Gehrta, przeciw Polakowi, i obaliło Polaka. Nacyonał liberał zwyciężył. Dlaczego to zrobiło? bo się nazywało wtedy: my darmo nie pomagamy Polakom — dajcie nam rekompensatę za pomoc.

Otóż znajdzie się teraz rekompensata — w pięciu okręgach westfalsko - nadreńskich: centrum musi nas popierać w Poznańskiem i zachodnich Prusach, my je popierać będziemy nad Renem. Każdy zostanie na terenie swoim, przez naturę zakreślonym, kwestya rekompensat zostanie rozwiązana bez trudności i bez niepotrzebnych ofiar ze strony Polaków.

„Przedewszystkiem policzmy się sami — a potem porachujemy się ze sprzymierzeńcem — taką była zasada, w myśl której odbyły się wybory w Duisburgu a odbędą się za półtora roku w innych okręgach nadreńskich i na Górnym Śląsku. Przyjaźń oparta na rachunku, może być stalsza i trwalsza, niż na nieujętem w ścisłą formę poparciu.

Taką oto doniosłość mają wybory w Duisburgu — dla kraju. Dla wychodźtwa zaś były one jak ożywcza rosa, która na spalone i zeschłe długim pobytem na obczyźnie serca polskie spadła w postaci żywych polskich dążności i narodowych haseł. Wychodźca, od-

dając głos na Polaka, czuł się tylko Polakiem i w tej chwili jakby nić jakaś tajemna, łącząca go z krajem ojczystym, zbliżyła go napowrót do tego społeczeństwa, które opuścił, ale do którego myślą wciąż dąży.

I dlatego serdeczna, gorąca podzięka należy się komitetowi centralnemu wyborczemu oraz powiatowym władzom wyborczym, że wszystkie te ważne kwestye uznali, że odczuli potrzebę wychodźtwa i poszli za głosem sumienia, nie troszcząc się o krytykę świata. Zarówno na nich, jak na „Wiarusa Polskiego“ i na „Pracę,“ ciskano gromy na obczyźnie i w kraju. Lecz komitet zrobił swoje — i cześć mu za to!

Wyłom oto już zrobiony.

Za półtora roku, da Bóg doczekać, w pięciu okręgch głosować będziemy na rodaka. Dobry przykład podziała zbawiennie.

A zatem raz jeszcze cześć zacnemu komitetowi!

Nazwiska panów — Wojczyńskiego, Lackowskiego, Regulskiego i innych, zapisane są dziś chlubnie w dziejach rozwoju polskiego wychodźtwa.

A już specyalnie nasza redakcya i wydawnictwo serdeczne, gorące im dzięki szle za to, że nas nie zawiedli i nie dali na pośmiewisko, gdy z wszystkich pism jedna jedyna tylko „Praca“ przed miesiącami już rzuciła hasło: *wybierajmy swego!*

Pismo nasze związane jest z wychodźtwem tylokrotnemi nićmi, że z każdego powodzenia wychodźców cieszy się jak ze swego własnego, a w ich znaczeniu i rozwoju upatruje chlubę i nagrodę dla siebie.

Pozostaje nam wreszcie jeszcze jedna tylko uwaga. Niemiło jest nam dotykać tej kwestyi, ale w polityce rządzimy się zasadą, że należy we właściwej porze i na właściwem miejscu stosować krytykę wobec każdego, bez względu na jego społeczne lub polityczne położenie: więc i w tym razie obowiązku swego nie poniechamy, jakkolwiek niechętnie się do niego zabieramy właśnie ze względu na społeczną pozycyę tego, wobec kogo musimy tę krytykę zastosować.

Chodzi o ks. dr. Lissa z Rumianna, dawniejszego duszpasterza westfalskich Polaków. Dwukrotnie on zabrał głos publicznie w sprawie wyborów w Duisburgu; najpierw odradzał postawienia kandydata polskiego.

To bardzo było dobrze i naturalnie, że ksiądz dr. Liss, jako znawca stosunków, nie chował swego zdania dla siebie, lecz jawnie i publicznie z niem wystąpił. Że inaczej się zapatrywał na sprawę, niż np. nasze pismo, — któżby mu brał za złe. Owszem, w dyskusyi zabierało głos tyle pism, które, nie znając stosunków westfalskich, oświadczały się za, albo przeciw naszemu projektowi głosowania na Polaka.

Ale gdy istniejący oddawna jako najwyższa władza wyborcza komitet centralny wyborczy w Westfalii, złożony z mężów światłych i dobrych patryotów, po bacznem rozważaniu sprawy, przyszedł do przekonania, jak postąpić należy, i tę decyzyę swą w formie każdego Polaka obowiązującej i prawnej ogłosił — *wtedy nikomu już nie wolno wyrywać się z niewczesną krytyką i obstawać przy swojem zdaniu, gdy od wyborów dzieli nas zaledwie kilka dni jeszcze.* Przed zapadłą uchwałą — owszem godzi się krytykować, wyjawiać swe zdanie, nawoływać do postąpienia, które się komu wydaje stosownem — ale gdy klamka zapadła, gdy ostateczna instancya przemówiła a wybory za pasem, wtedy *obowiązkiem każdego jest słuchać, a nie rezonować.*

Tymczasem cóż uczynił ks. dr. Liss? Otóż w Pielgrzymie (N. 86) zaznaczając, że „Wiarus Polski“ piętnuje jak odszczepieńca każdego Polaka, któryby agitował przeciw uchwale polskich władz wyborczych, pisze ks. dr. Liss:

„Zrywać solidarność jest brzydką i szkaradną sprawą w rzeczach sprawiedliwych, *chwalebną i obowiązkową w rzeczach niesprawiedliwych;* w sprawach wątpliwych może być dobrą, może być złą według okoliczności.“

W tych sprawach ks. dr. Liss swoje *ja*, swoje *zdanie*, wynosi nieznacznie ponad zdanie komitetu centralnego i wyraźnie powiada: uchwała komitetu jest złą, bo *nie jest taką, jak ja chcę*; ponieważ jest zła, więc wolno każdemu zerwać solidarność.

To mniejwięcej wyczytać można ze słów ks. dra Lissa.

Na to jedynie powiedzieć możemy:

Hola, księże dobrodzieju!

Nie tędy prowadzi droga do korzyści dobrej sprawy naszej! Gdyby każdy chciał swe zdanie uważać za najlepsze, doprowadziłoby to do anarchii w społecznych i politycznych stosunkach. *„Wiarus“ dobrze napisał to, co napisał* — że odszczepieńcem jest każdy, ktoby w takiej chwili agitował przeciw uchwale komitetu. To zdanie stosuje się do każdego: czy wysoko, czy nisko urodzony, czy ksiądz, czy hrabia, czy robotnik. Kto uchwały nie podziela, ten może milczeć, a swe krytyczne uwagi po wyborach wypowiedzieć.

Każda sprawa opiera się na solidarności i subordynacyi; każdy obywatel kraju powinien mieć tę pokorę, aby swego zdania nie wynosić ponad zdanie definitywnie uprawnionej instancyi. Ksiądz dr. Liss zna zapewne tę zasadę: *Roma locuta, causa finita.* Otóż komitet przemówił — a on w tych rzeczach jest ostatnią instancyą — i *wszelka dyskusya ustaje, albo się zaczyna otwarta secesya i anarchia.*

Wspomnieliśmy powyżej o tem, że centrowcy chcieli podstawić jakiś fałszywy polski komitet samozwańczy, aby wezwał Polaków do głosowania na Niemca. Komitet ten w swej odezwie nie byłby się posługiwał innymi argumentami, jak argumenty ks. dr. Lissa.

Z goryczą też pisało do nas kilku wiarusów: „Jakże tu pracować dla idei, jeśli nietylko centrowcy intrygują przeciw prawomocnym uchwałom komitetu, ale jeśli nawet i nasi rodacy w kraju, jak ks. dr.

Liss, drogę im do secesyi wskazują. Znamy kilku, którzy przeczytali pismo ks. dr. Lissa i poszli głosować — na centrowca. *Gdyby nie to hasło odstępstwa, bylibyśmy z pięćset głosów więcej dostali*".

Po tej pierwszej udatnej próbie głosowania na Polaka w Nadrenii i Westfalii nastąpią niezawodnie jeszcze inne. Zawczasu więc z całym naciskiem podnosimy znaczenie komitetu centralnego wyborczego jako instancyi przeciw uchwałom, której nie wolno jest nikomu występować — kto nie chce wprowadzać anarchii do wewnętrznych naszych stosunków politycznych. *Vester.*

Ruch przedwyborczy
na Górnym Śląsku.

Niejednokrotnie już poświęciliśmy artykuły zasadnicze powyższemu przedmiotowi. I niedawno nawet — w odpowiedzi danej *Köln. Volkz.* — podtrzymaliśmy zaznaczone nasze stanowisko, że od zasady wybierania Polaków na posłów nie odstąpimy. Kto pojmuje, jak bardzo jeszcze potrzeba ludowi górnośląskiemu ożywienia politycznego, jak bardzo mu potrzeba zespolenia się z ogółem polskiego narodu, ten nie będzie się dziwił, ale owszem sam powie, że bez względu na nasze siły powinniśmy wszędzie na Górnym Śląsku postawić swoich polskich kandydatów. Choć w kilku okręgach, jak niejednokrotnie wykazaliśmy, niema nadziei, żeby mógł przejść Polak, to jednak pomimo to wszędzie powinni być postawieni polscy kandydaci. Pamiętajmy, że w czasie przedwyborczym, gdy zabrzmi hasło: „*głosować na Polaka!*" tysiące obojętnych rozbudzić będzie można i z uśpionych mas ludu wykrzesać iskierkę polskiego ducha, który nie zagaśnie już tak prędko.

Pamiętajmy, jak Pan Bóg obiecał zachować od zagłady Sodomę i Gomorę, choćby w niej tylko kilku ludzi pobożnych znaleźć się miało — i z tego przykładu boskiego czerpmy naukę, że i dla małej garstki Polaków w okręgu, choć bez nadziei zwycięstwa, należy zachować w całości wzniosłą zasadę narodowości, która się w wyborach ma ujawnić w głosowaniu na rodaka. Z wyjątkiem socyalnej demokracyi, połączą się przeciw Polakom wszystkie partye niemieckie, z hakatystami na czele, aby tylko nie dopuścić polskiego kandydata do zwycięstwa.

Stosunek ruchu narodowego polskiego do socyalnej demokracyi też zasługuje na baczną uwagę:

Socyalna demokracya w Niemczech posunęła się obecnie znacznie w kierunku hakatystycznym. I ona zaczyna już zrzucać z siebie maskę międzynarodową, a idąc w kierunku odrębności narodowo-niemieckiej buduje pomiędzy sobą a polską socyalną-demokracyą niezatarty przedział. Do niedawna jeszcze w braterskich objęciach spoczywały nawzajem polska i niemiecka socyalna demokracya. Lecz na Górnym Śląsku znany ze swych antypolskich dążeń dr. Winter, socyalista niemiecki, nakłonił swych stronników niemieckich, aby odmówili prawa bytu polskim socyalnym-demokratom. Tak więc teraz są na Śląsku dwie partye socyalno-demokratyczne: niemiecka i polska.

Że Polak żaden na niemieckiego socyalistę głosu nie odda, to chyba rzecz pewna. Inaczej się ma z polskim socyalistą. Nie ulega wątpliwości, że polscy socyaliści wytężać będą siły przy wyborach, aby pod swoją chorągiew ściągnąć jaknajwięcej zwolenników.

Lecz ta chorągiew ich — to chorągiew partyjna: nasz sztandar, który nas do zwycięstwa ma doprowadzić, ma inne barwy, nie partyjne, lecz narodowe! Socyalista, choćby się nazywał Polakiem, zniknie jak kropla w morzu wśród posłów socyalno-demokratycznych w parlamencie niemieckim i ślad żaden jego polskości na zewnątrz się nie ujawni. Polscy socyaliści w zaborze pruskim brali od niemieckich socyalistów pieniądze na wydawanie swej gazety i na agitacyę — a te pieniądze nazawsze i w najdalszej przyszłości wyciskają piętno na ich działalności. Wyciskają nie piętno hańby coprawda, bo nie hańbą jest przyjąć pomoc pieniężną od partyi tych samych politycznych zasad, — na cele partyjne, — ale wyciskają na nich *piętno międzynarodowości.* Jakże oni mają bronić narodowości polskiej, jeśli jeszcze wczoraj od tych samych Niemców brali pieniądze, którzy, jak dr. Winter, nie uznają istnienia i praw polskiej narodowości? Dla nich zawsze pozostaną partyjne cele socyalnej demokracyi na pierwszym planie.

Nam takich posłów nie trzeba: nam trzeba posłów, którzyby śmiało, szczerze, otwarcie, jawnie, bez żadnych partyjnych programów wystąpili w imieniu polskiego ludu, jako Polacy i nie w szeregach socyalnej demokracyi, ale w szeregach narodowej partyi polskiej! Partyjny program, czy socyalno-demokratyczny, czy jakikolwiek inny, musi pójść w kąt przed programem narodowo-polskim. *My walczymy o naszą narodowość i jej prawa — a nie o cele partyjne.* I socyalny demokrata, i stronnik każdej innej partyi może pójść z nami ręka w rękę, bo na narodowo-polskim sztandarze wypisano hasło: *Precz z partyami! obrona narodowości przedewszystkiem!*

Takim jest stosunek narodowego ruchu polskiego na Górnym Śląsku do socyalnej demokracyi.

Lecz po zatem jeszcze widzimy we własnym obozie polskim rozmaite różnice zdań i kierunków.

Słyszymy naprzykład zarzuty, podnoszone przeciw „*Katolikowi*" i „*Dziennikowi Śląskiemu*," że nie zachęca ludu polskiego do wybierania Polaków na posłów.

Zarzuty te są często tak ostre, jak gdyby „*Katolik*" popełniał omal że nie zdradę narodową przez to,

że nie woła: Wybierajmy Polaków na posłów!

Zarzuty te są niesłuszne.

„Katolik“ kieruje się względami ostrożności, bo gdyby wybory na Polaków gorzej miały wypaść, niż to się zdaje napozór, a cóżby się stało? Oto „Katolik“ swem znaczeniem, swym wpływem zapłacił by koszta wszystkiego. A on już wie, co to znaczy, on wie, bo pamięta, jak go księża wyklinali z ambon, jak w najrozmaitszy sposób z nim walczono. On nie chce się na niepewne losy wystawiać. Ale niech no tylko ten nasz ruch narodowy dość silnie poruszy lud polski, — niech się rozlegnie od krańca w kraniec Ślązka wołanie o narodowych polskich posłów, a „Katolik“ na pewno nam przeszkadzać nie będzie, ale stanie z nami po tej samej stronie.

Źle służy sprawie narodowej ten, kto w przeddzień wyborów woła: *precz z „Katolikiem!“* A dlaczegoż to tak rozmaici ludzie wołają? Oto dlatego, że chcieliby, aby „Katolik“ za nich lepiej wszystko sam zrobił i pokierował polskiemi wyborami, a oni przyszliby do gotowego.

My się na takie zdania zgodzić nie możemy. Przeciw „*Katolikowi*“ ani jednego posła wybrać nie można — natomiast lepiej zakasać ręce i wziąść się do pracy przedwyborczej.

Jak przygotowywać wybory? Oto pytanie!

Na inteligencyę niema się co oglądać! — Inteligencyę na Górnym Śląsku stanowi szereg jednostek, których część wskutek parcia ekonomicznego Niemców boi się jeszcze bardziej od prostego ludu pokazać swą narodowość polską; druga zaś część — to jednostki, które ponosząc osobiste ofiary pracują dla sprawy — ale siły ich są zbyt słabe, by ogarnąć miały cały zakres politycznych dążności polskiego ludu.

Pozostaje więc kto?

Pozostają *gazety polskie* i ten duży zresztą zastęp dzielnych pracowników dla sprawy narodowej, który należy do ludu, który przez gazety polskie został rozbudzony i oświecony i pracuje dla ludu.

Oto nasze siły.

One nie są wielkie, ale wystarczą — do zwycięztwa idei polskiej. Tych bojowników coraz więcej przybywa. Zapewne niejeden nawet, po przeczytaniu tego artykułu powiedział sobie: wskażcie mi drogę, a pójdę pracować razem z wami nad przygotowaniem wyborów!

Otóż my wskazujemy drogę:

Nasza redakcya, *Redakcya tygodnika „Praca“ w Poznaniu, ulica Rycerska 38,* mając blisko dwa tysiące dzielnych wiarusów-czytelników tylko na Górnym Śląsku, rozrzuconych po całej przestrzeni prowincyi, postanowiła rozpocząć pracę nad przygotowaniem przyszłych wyborów na Górnym Śląsku z pomocą tych dwóch tysięcy swych czytelników górnośląskich.

Kto chce pracować z nami, niech napisze do naszej redakcyi, niech poda adresy swych dobrych znajomych (zwłaszcza z bardziej zaniedbanych narodowo powiatów), a otrzyma paczkę numerów pisma na rozdanie, otrzyma rozmaite pożyteczne książki i broszury, które pobudzać będą lud górnoślązki do głosowania na swego, a wreszcie otrzyma od naszej redakcyi rozmaite rady i wskazówki, jak zwołać należy wiec polski i jak na nim przemawiać, zachęcając do wybierania Polaków na posłów.

Z pomocą naszych czytelników i przyjaciół doprowadzimy, da Bóg, do tego, że przed wyborami zdąży się we wszystkich miastach i miasteczkach urządzić wiece polskie i oświecić lud o jego obowiązkach co do wyborów.

Nie potrzebujemy dodawać, że w tej naszej pracy główną uwagę zwrócimy na okolice o najsłabbszym ruchu narodowym.

Nie wątpimy, że za przykładem „Pracy“ z Poznania pójdą i inne redakcye polskie i będą swych czytelników zachęcać do zajmowania się przygotowaniem wyborów. A gdy w ten sposób oświeceni będą uczyć obojętnych i nieoświeconych — zwycięstwo będzie naszem, a zgoda i solidarność przyświecać nam będą!

Wybierajmy na posłów tylko Polaków! *Ordon.*

O języku ojczystym.

Rzecz odpowiednia do wygłoszenia na zebraniach i wiecach,

napisał Jan Darski.

Ktokolwiek odezwie się dzisiaj o stosunkach, panujących w naszych dzielnicach, Polak czy Niemiec, zawsze jako charakterystyczne znamię obecnej chwili poda: walkę. Przed kilkunastu laty wrzała także pod zaborem pruskim walka — owa sławna walka kulturna — a wtedy bój się toczył o religią katolicką. Dzisiaj bój ten przycichł, choć nie ustał, a zato nowe hasło panuje: rugowanie języka polskiego wszędzie i ciągle!

Nie potrzeba ani słowa tracić, gdzie go już nie ma, a gdzie być według wszelkich praw Bożych i ludzkich i przyrzeczeń królewskich powinien — bo to znane są rzeczy. Jedna tylko niezmiernie ważna, a nigdy dość głęboko nie rozbierana kwestya w tym ucisku języka ojczystego się nasuwa: dlaczego my tego języka naszego tak bronimy? Wszakże język niemiecki jest także darem Bożym, wszakże i on ma swe zalety i piękności, wszakże i tym językiem można dokładnie wyrazić swe myśli i uczucia, wszakże tyle milionów uczciwych ludzi za pomocą niego się porozumiewa, a przedewszystkim nasuwa się niejednemu myśl — szczególniej w obcych stronach:

czemu ja nie mam przyjąć języka niemieckiego za swój własny, czemu nie mam ożenić się z Niemką, skoro jest katoliczką, czemu nie mam zaprowadzić w swej rodzinie niemieckiego języka, skoro skutkiem tego czeka mnie uwzględnienie przy awansie, wsparcie od rządu i przywileje dla siebie i swych dzieci? Wszakże ten i ów, którego znałem, zniemczył się, a mimo to nie przestał być dobrym katolikiem i sumiennym człowiekiem!?

I na takie pytanie, odzywające się w duszy niejednego, a raczej na taką pokusę trzeba mieć broń gotową a skuteczną — tą bronią mają być następujące uwagi i zdania; one mają wpoić każdemu w sumienie, że jest świętym obowiązkim każdego prawego człowieka język ojczysty, ten najdroższy dar ziemski, zachować przez całe życie i przekazać potomstwu.

Przypatrzmy się pokrótce, w jaki sposób język powstał i jakie przechodził zmiany, zanim się stał narodowym językiem:

W piśmie św. nie Stwórca, lecz Adam każdej rzeczy daje nazwisko.

„Utworzywszy tedy Pan Bóg z ziemią wszelkie zwierzęta ziemne y wszelkie ptastwo powietrzne przywiódł je do Adama, wszystko bowiem co nazwał Adam duszą żywiącą, to jest imię jego. (Rozdz. 2, 19.)“

Bóg daje zatem pierwszemu człowiekowi władzę nazywania stworzeń, z pomocą Bożą jest Adam zdolen nazwać przedmioty go otaczające, uczucia, jakie go ogarniają oraz czynności, jakie wykonuje.

Ta zdolność tworzenia słów i nazw czyli mowa odróżnia człowieka od reszty zwierząt. Mowa jest ową granicą, której żadne stworzenie nie śmie przestąpić — człowiek mówi, ale żadne zwierzę Stwórca nie obdarzył mową. Język jest więc osobnym darem Bożym, który człowieka ponad resztę stworzeń wynosi.

Języki ludzi są zatem pochodzenia Bożego, są zarazem dowodem na istnienie i działalność Swórcy, są uświęcone osobnym aktem woli Bożej, który je stworzyć zapragnął.

A ponieważ Bóg stworzył okoliczności na świecie, mocą których pierwotna mowa człowieka naturalnym porządkiem rzeczy zmieniać się i ukształcać musiała, więc też w dalszym ciągu jest Bóg twórcą języków pojedyńczych narodów.

Pierwotne nazwy, jakie człowiek sobie utworzył, są to źródła wszystkich języków, pierwiastki wszystkich później utworzonych słów. Tych pierwiastków czystych było nasamprzód bardzo wiele, z biegiem czasu zanikły i poginęły, tak iż do dzisiaj uczeni nie zdołali więcej na 400—500 takich korzeni językowych w językach martwych i żyjących odnaleźć — ale dają one wystarczające dowody niezbite, iż wszystkie języki z jednego prajęzyka się wyłoniły.

Źródłosłowa te nazwane także pierwiastkami lub korzeniami łączył człowiek jedne z drugiemi, lub odmieniał — w miarę stosunków, w jakich się znajdował. Mieszkańcy gór tworzyli za ich pomocą nazwy na skały, lodowce, lawiny, ludzie trudniący się hodowlą bydła wymyślali wyrażenia na pojedyńcze gatunki zwierząt domowych, roślin, paszy, inni zamieszkali nad morzem potrzebowali wyrazów osobnych na oznaczenie przedmiotów potrzebnych do żeglugi.

I w miarę odłączenia się pojedyńczych rodzin i szczepów od siebie mowa ich się zmieniała; powstały osobne języki i narzecza, rozdrabniające i odmieniające się coraz to więcej. W ten sposób jest Bóg, który stworzył różnice lądów i mórz na ziemi, a człowiekowi dał mowę, twórcą pojedyńczych języków narodowych. W narzeczach tychże poznać można ich pewne pokrewieństwo, na mocy którego poszczególne języki można połączyć ze sobą w większe rodziny; tworzyły się one samodzielnie, ale każdy szczep tworząc swój język działał na mocy i za pomocą daru Bożego, jaki rodzic wszystkich ludzi otrzymał — każdy język jest utworem Bożym, który każdy człowiek, który w Boga wierzy, szanować, czcić, od zagłady chronić winien.

Tak jak w narodzie ludzkim rozmaite są rasy, tak też są i rodziny językowe, których poszczególne członki-języki wybitniejsze do siebie podobieństwo wykazują.

Język polski należy do wielkiej rodziny aryjskich czyli indoeuropejskich języków. Ta rodzina rozpada się nasamprzód na większe familie językowe, z których jedną z najliczniejszych jest rodzina języków słowiańskich — do tej nasz język polski należy. Do Słowian należą prócz Polaków Rusini, Serbowie, Czesi, Słowacy, Kroaci, Bułgarzy; — dawniej istniały jeszcze inne szczepy słowiańskie nad Odrą i Elbą, ale te Niemcy wytępili z wyjątkiem jakich 150,000 Wendów i Łużyczan, mieszkających do dziś dnia w porzeczu Elby.

Jak się to stało, że ze słowiańskiego języka wyłonił się polski? Otóż w ten sposób, że gdy wielka rodzina Słowian zalała Wschód i środek Europy i zajęła stałe siedziby, wtedy język słowiański doznał tego samego losu, co inne. A więc jedni wśród Słowian zamieszkali stepy Ukrainy, drudzy osiedli nad morzem Bałtyckiem, inni poszli w podnóża Gór Karpackich, jeszcze inni osiedli na szerokich polach nad Wartą i Wisłą. Zajęcia różnorodne, odmienne położenie gruntów, klimat, stosunki ze sąsiadami poczęły odtąd oddziaływać na macierzysty język Słowian i czynić różnice. Wprawdzie wszystkie narzecza słowiańskie zachowały wiele wspólnych sobie znamion, ale każde z osobna skutkiem samoistnego życia swego nabyło swoją odrębną cechę, swój charakter, swoje właściwości. Ów prajęzyk słowiański, który jest rodzicem obecnych języków polskiego, czeskiego, rusińskiego, zanikł, ale odrodził się w tych pojedyńczych swych dzieciach. Wieku, w którym nasz język polski wyodrębnił się od słowiańskiego, dokładnie oznaczyć nie możemy. Najstarsze zabytki piśmienne sięgają końca XIV wieku, a w czasie tym już język nasz był w gotowej szacie, już tak był ukształcony, jak nasz obecny — widocznie więc istniał już na kilka wieków poprzednio jako język osobnego szczepu. Od tej chwili, w której język nasz wszedł do historyi dziejów jako język polski, możemy wykazać na nim wszystkie koleje, jakie naród nasz w ciągu wieków przechodził.

Język nasz jest zatem najcenniejszym pomnikiem historycznym naszych dziejów. A te koleje pozostawiły na nim ślady nietylko w pieśniach, przysłowiach i historyach, ale przedewszystkiem na nim samym.

Przyjęcie religii chrześciańskiej, obrządku łacińskiego za pośrednictwem pobratymczych Czech odbiło się na naszym języku na samym początku.

Język łaciński zaprowadzony w kościele naszym jako urzędowy, usunął polski z tego stanowiska. Tam gdzie trzeba było kościelne funkcye tłomaczyć ludności, używano wyrazy albo żywcem z łaciny (zakrystya, confesonał, ministrant) wzięte, lub zmienione — wszystkie wyrazy mające styczność z kościołem, są na to dowodem: kościół,—ecclesia, ołtarz — altare, kapłan — capellanus, proboszcz — praepositus.

Za kościołem poszedł rząd, który do wszystkich potrzeb używał łacińskiego języka, a równocześnie liczne stosunki z pobratymczym narodem czeskim zadzierzgnięte za Mieczysława a zachowane za Piastów i Jagiellonów nie były bez wpływu na ukształcenie się naszego języka.

Związki państwowe i kościelne, w jakich pozostawaliśmy przez wszystkie wieki z Rusią, wycisnęły na nim także swe odrębne piętno i przysporzyły mu wiele wyrazów. Jest więc język nasz najcenniejszą narodową pamiątką — droższą od popiołów pojedyńczego króla, droższą od zamków i pól bitew, uświęconych wspomnieniami historycznemi, droższą od wszystkich pomników i mogił naszych bohaterów. Jeżeli jednak wszyscy Polacy mają obowiązek strzedz wszystkiemi siłami i od skazy i zatraty go zachować, to przedewszystkiem my Wielkopolanie do tego obowiązku poczuwać się winniśmy.

Życie narodu naszego zawiązało się tutaj w porzeczu Warty i Noteci — tutaj ustalił się język nasz jako narodowy, aby odtąd wraz z naszą Ojczyzną dobre i złe przechodzić koleje. Tutaj we Wielkopolsce najpierw nabrał język polski swego wybitnego, odrębnego charakteru od innych słowiańskich narzeczy, tu został ujęty we formę piśmienną, tu nasamprzód stał się urzędowym językiem państwa. Chociaż więc później ster państwa przeniesiony został do innej dzielnicy, z Gniezna do Krakowa, już język, dotychczasowy urzędowy, pozostał ten sam, bo już był nabrał rutyny urzędowej, już zbyt był zakorzeniony, zbyt wypielęgnowany, wykształcony. Tak więc stało się, że język piśmienny polski przywdziawszy na gruncie wielkopolskim szatę urzędową, pozostał w niej

jako własność narodu przez cały ciąg wieków, i soki swe ciągnął z całego obszaru narodowego życia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z dziejów kulturkampfu.

III.

Do jak potwornych rezultatów w niektórych parafiach doprowadziła walka kulturna, przekonać się można ze współczesnych opisów zajść, jakich widownią bywały parafie oddane księżom rządowym.

Jak stwierdzono w rozprawach parlamentarnych, w r. 1887 wobec ośmiuset księży, którzy zostali wierni hierarchii kościelnej, znalazło się w Poznańskiem zaledwie ośmiu państwowych. Wprowadzenie proboszczów rządowych na parafie dawało już wystarczającą próbkę i przedsmak stosunków, jakie w dawnej parafii zaczęły się szerzyć z chwilą osadzenia państwowych proboszczów. Czas ich wprowadzenia w najściślejszej był zwykle trzymany tajemnicy. Na kilka godzin przed zjawieniem się takiego proboszcza zjeżdżali na miejsce najpierw wszyscy żandarmi z całego powiatu, potem tajni policyanci i słudzy policyjni z Poznania. Na prędce zostaje zwołany dozór kościelny. Reprezentant policyi przedstawia im rządowego księdza, dozór kościelny protestuje przeciw temu i uznać go nie chce, kluczy od plebanii, kościoła i zakrystyi wydać nie chce. Policya tem się nie przeraża, tem mniej proboszcz rządowy. Wołają ślusarza. Parafianie zgromadzają się koło świątyni. Żandarmi z gotową bronią czekają, aby stłumić w zarodku jakieś możliwe gwałty. Do kościoła się zbliża rządowy ksiądz, w otoczeniu żandarmów, policyi i w towarzystwie landrata. Często się zdarzało, że żaden ślusarz na miejscu nie chciał otworzyć kościoła. W Kościanie np. do otworzenia drzwi kościoła parafialnego trzeba było użyć pod przymusem więźnia z zakładu karnego, żaden bowiem rzemieślnik-ślusarz nie chciał przyłożyć ręki do świętokradzkiego dzieła. W oczach parafian, wśród bolesnych jęków i płaczów, otwierają się podwoje kościoła. Wprowadzenie nastąpiło.

Lecz parafia nie uważa księdza za prawowitego. Nikt nie chce dać mu ochrzcić dziecka, lub zawołać go do umierającego, albo wziąść ślub u niego: każda czynność kapłańska, którą on wykonywuje jest nieważna i pod groźą klątwy kościelnej spoczywa. Parafie, w których rezydował także proboszcz rządowy, szukały opieki duchownej w oddalonych o mil kilka dalszych parafiach, gdzie sprawowali czynności kapłańskie księża legalni.

Naturalnie, że wśród tych księży rządowych były same wyrzutki społeczne. „Ks.“ Kubeczak znany był z gwałtów popełnianych przeciwko czci niewieściej, inny zaś „kapłan“ — w Powidzu, całemi miesiącami nie mógł z powodu *delirium* sprawować swych funkcyi.

Interpelacya wniesiona przez posłów polskich w r. 1887 a motywowana przez ks. F. Stablewskiego dokładny daje obraz stosunków w parafii, nawiedzonej przez takiego księdza-apostatę.

W Kościanie np. rząd osadził jako proboszcza niejakiego Brenka, którego katolicka parafia naturalnie nie uznała za prawowitego.

Aby mu czynności jego stanu ułatwić i zmusić poniekąd parafię do poddania się smutnej konieczności, wydalono lub zasuspendowano w czynnościach wszystkich okolicznych legalnych księży. Parafia jednak wzbraniała się uznać Brenka za proboszcza. Jedynie więźniowie w domu poprawczym pod przymusem karnym poddać się musieli jego opiece duchownej.

Aby parafian zmusić do uznania Brenka, wpadła policya na istotnie teutoński pomysł, żądając od każdego z mieszkańców pozwolenia Brenka na chowanie ciał swych zmarłych krewnych.

Ci, którzy się do tego rozporządzenia nie stosują, mianowicie żałobą dotknięci, ci, którzy trupa niosą, i grabarze skazywani bywają przy każdym pogrzebie na wysokie kary pieniężne; zdarzało się nawet, iż trupy przez policyantów i żandarmów chowane były. Kiedy przez zamknięcie cmentarza chciano zmusić parafią do powolności dla rzeczonego Brenka, pozostawały trupy przez kilka dni nie pochowane. Trupy stały całemi dniami nie pogrzebane, albo też wystawione bywały przed bramę cmentarza, gdzie przez 18 godzin, jak się to z jednym trupem zdarzyło, na publicznej stały drodze. Jeden trup przez tydzień cały nie był pogrzebany; zgromadza się tedy reprezentacya parafialna i postanawia z powodu wzburzenia parafii ciało pochować. W tym celu musiała kazać otworzyć bramę cmentarną. Reprezentacya parafialna uczyniła to w przekonaniu, iż jej przysługuje prawo zarządzania cmentarzem. Landrat kościański wiedział o tem, że trupy przez cały tydzień leżały, wiedział o wzburzeniu parafii i o uchwale reprezentacyi parafialnej, mógł czynowi temu przeszkodzić przez postawienie policyantów i przez wyraźny zakaz, nie uczynił tego jednakże. Członków reprezentacyi parafialnej skazano za to następnie na dotkliwe kary.

Dalej znajdujemy w tejże interpelacyi następujący opis stosunków parafii kościańskiej:

Zwłoki oddawane zostają w ręce policyi i żandarmów, lecz krewni zmarłego nie pozwalają, ażeby proboszcz przedsiębrał religijne czynności nad ciałem. Żandarmi i policyanci chowają właśnie zwłoki ojca, za któremi dwóch jego synów na cmentarz wchodzi, a tu nagle pojawia się proboszcz państwowy w stule i chce przedsiębrać pod osłoną żandarmów i burmistrza religijne ceremonie nad ciałem, synowie porywają czem prędzej zwłoki swego ojca i uchodzą z niemi na pole.

Burmistrz i żandarmi chcieli im ciało to wyrwać, dzieci nie chcą jednakże zezwolić, ażeby zwłoki ich ojca pochowane zostały przez kapłana przez Kościół wyrzuconego. Burmistrz grozi za to 50 talarami grzywien.

Gospodarzowi pewnemu nazwiskiem Michalak z Ponina w parafii kościańskiej umarło dziecko. Człowiek ten nie chiał, aby Brenk odprawił nad niem ostatnie modlitwy i kiedy landrat usiłował go do tego zniewolić, oświadczył, że pod żadnym warunkiem nie pozwoli temu duchownemu poświęcić ciała swego dziecka. Nie wyniósł zatem z domu trupa, lecz oświadczył, że może policya przyjść i dziecko zabrać. Policya zagroziła mu karą i dopiero gdy karę nałożono i egzekucyą zagrożono, widział się gospodarz ten zniewolony do wyniesienia dziecka na cmentarz. Cmentarz był zamknięty: członkowie gminy wyłamali wrota cmentarza, a tego człowieka zagrożonego egzekucyą za to, że nie chciał trupa wynieść na cmentarz, za naruszenie spokoju publicznego na 4 miesiące więzienia osadzono.

Księża wierni hierarchii rzymsko-katolickiej narażeni byli na ciągłe szpiegowanie przez tajnych policyantów, którzy podsłuchiwali ich kazania na ambonach. Kilku duchownym wytoczono proces z powodu denuncyacyi tajnych policyantów.

Ks. Czechowski z Gryżyny oskarżony został za to, że pewnego policyanta tajnego miał obrazić w urzędzie. Policyant ten bowiem słyszał, jak ks. C. mówił, że chociaż go „zbiry“ podsłuchują, słowo Boże ogłaszać będzie. Ks. Czechowski za to wyrażenie skazany został na 8 miesięcy więzienia.

Księży opornych dla rządu przy pierwszej sposobności wydalano. W razie najmniejszych śladów pobytu niedozwolonego, urządzano na zbiega formalną nagankę i przesłuchiwano w śledztwie liczne osoby, aby się dowiedzieć, czy jaki ksiądz nie odprawiał gdzię cichej mszy św.

Schwytano jednego z mansyonarzy

w Rydzynie, transportowano go w sposób ostentacyjny do Kościana, ciągnięto go z jednego więzienia do drugiego, i chciano go znowu z miasta wypędzić. Wobec tego ludzie przychodzą do landrata i proszą, aby tego w tak ostentacyjny sposób nie czynił, landrat Delsa zaś powiada: **Niech krew płynie!**

Na wiecu polskim w Poznaniu w r. 1881 jeden z mówców taki obraz skreślił panujących stosunków:

„Pozbawione służby bożej przybytki pańskie, a gmachy puste, lub na inny użytek przeznaczone. W niektórych (we Wronkach) tam gdzie dawniej się rozlegał odgłos pieśni nabożnych z piersi tysięcy wiernych, tam dzisiaj słychać tylko miarowy krok musztry i głos komendy wojskowej i lubieżne piosnki żołdactwa.

„Oto mniej więcej obraz tego, co się u nas dzieje po miastach. Zaiste nie wesoły ten obraz — ale daleko smutniej wygląda u nas po wsiach. Podczas gdy w mieście pomimo braku księży stoją jeszcze otworem świątynie i każdy może znaleść posługę duchowną, to na wsi połowa parafii pozbawiona swych pasterzy, 142 probostwa są osierocone przez śmierć lub wygnanie plebanów, a w małej tylko liczbie parafii wolno wikaryuszom zastępować zmarłych proboszczów, 300,000 dusz przeszło pozbawionych posługi duchownej, a znajdują się całe pasy kraju, gdzie dwie mile w szerz, a 6 do 7 mil możesz ujechać wdłuż przez same osierocone parafie. Jeden taki pas ciągnie się od Inowrocławia do Torunia, drugi w okolicach Ostrowa nad granicą, inny od Nakła do Wyrzyska i dalej. Księży w całej dzielnicy było do 800, a wcale ich nie było zanadto, liczba ich zeszczuplona do 550.“

Taką była gospodarka niemieckich kulturtraegerów na polskiej ziemi.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Z blizka i z daleka.

„Koło“, stowarzyszenie młodzieży polskiej, kształcącej się w Paryżu, zwołało w sali Marengo wiec polski, w sprawie gospodarki hakatystów w Poznańskiem. Z powodu pory wakacyjnej ilość uczestników wieca daleką była od cyfry, jakiej się spodziewano. Niemniej przeto ogólne rezultaty zebrania uważać należy za bardzo owocne.

Po zagajeniu przewodniczącego pana Korytki, odczytano trzy referaty, które wywołały ożywioną dyskusyę:

1) prześladowanie nauki języka polskiego w szkołach pruskich i w nauczaniu prywatnem;

2) prześladowanie młodzieży polskiej w Poznańskiem;

3) o znaczeniu języka polskiego jako wykładowego.

* * *

Z Murowanej Gośliny donoszą nam, że mógłby tam się osiedlić i liczyć na powodzenie lekarz-Polak.

* * *

Nasi czytelnicy z Inowrocławia przysyłają nam kilka numerów *„Kujawischer Bote“* z prośbą, aby temu pismu „przytrzeć trochę rogów, bo się zanadto panoszy na polskiej ziemi.“ My na to odpowiedzieć możemy, że pismu temu odprawę dać jedynie mogą inowrocławscy Polacy, a to w ten sposób, jeśli urządzą *wiec*, którego tam od dawna nie było Nie wątpimy, że i „Dziennik Kujawski“, w prowadzeniu którego uwydatniło się obecnie wielkie ożywienie, myśl tę poprze i urzeczywistnieniem jej pokieruje; ale obywatele inowrocławscy muszą dać inicyatywę. Tylko w ten sposób skwitować można panoszącego się na naszej ziemi kulturträgera.

* * *

W Grudziądzu przed izbą karną toczył się proces przeciw odpowiedzialnemu redaktorowi „Gaz. Grudziądzkiej“ o artykuł w nr. 48 z r. b. pod tytułem: „Cywilizacya pruska.“ W artykule omawiano zniesienie nauki języka polskiego w gimnazyach. Prokurator wniósł o rok więzienia. Sąd jednak wyroku nie wydał, postanowił bowiem wpierw dowiedzieć się, kto nakazał znieść naukę języka polskiego w gimnazyach poznańskiem i gnieźnieńskiem.

* * *

Z powodu zakazu zabawy, urządzonej przez polsko-katolickie Kasyno w Królewskiej Hucie, towarzystwo to, bardzo potrzebne i pożyteczne, poniosło straty i ma byt zagrożony. Kto może dopomódz przesyłając np. roczną kilkumarkową składkę, jako członek, na ręce prezesa p. Karola Pawliczka w Królewskiej Hucie (Königshütte O|S. Hajducha ul. 33) ten podtrzyma to towarzystwo.

Gdy schodzących się Polaków na zabawę zabronioną odganiali od sali policyanci, inni mówili, że będzie niebawem niemiecki teatr w Katowicach, a polskiego nie trzeba. Ale lud polski wołał: „Precz z niemieckim, my chcemy nasz polski teatr zobaczyć!“

* * *

Z wielu stron nadsyłają nam czytelnicy wciąż nowe dowody szykan pocztowych. Dla braku miejsca w szczegóły zapuszczać się nie możemy — odpowiedzią naszą powinno być pisanie wytrwale adresów po polsku.

* * *

Jakieś „Hilfscomitée für Ostasien“ rozsyła do Polaków w prowincyi naszej wezwania o składki. Kilka arkuszy nam nadesłanych odesłaliśmy z powrotem nadawcom i dodaliśmy dobrą radę, aby lepiej oszczędził sobie niemiecki komitet kosztów przesyłki, bo prawdziwy Polak nie daje składek na powrót Prusaków z Azyi. Gdyby wszyscy Prusacy z Europy mieli się wynieść do Azyi, — wtedy my pierwsi zbieralibyśmy składki, aby im do wyniesienia się za morze dopomódz.

Z Chodzieży donoszą nam czytelnicy, że odbyło się tam zebranie hakatystów. Do zgromadzonych mieszczan i robotników wygłosił przemowę przeciw Polakom rektor szkoły miejscowej.

* * *

Otrzymaliśmy:

I) XVIII sprawozdanie z czynności galicyjskiego Towarzystwa „Kółek Rolniczych“ za rok 1900.

Znajduje się w niem wiele cennych wiadomości i wykazów, świadczących o dobrym rozwoju tych pożytecznych instytucyi. Nakład „Przewodnika Kółek rolniczych“ wzrósł z 2-ch tysięcy na 2400 płatnych abonentów. Nowych Kółek powstało 76.

II) XXVII sprawozdanie z czynności „Westy“, banku wzajemnych ubezpieczeń na życie w Poznaniu za rok 1900.

III) Piąte sprawozdanie Bractwa Kwestarskiego w Poznaniu od 1-go kwietnia 1900 do 31 marca 1901.

IV) Sprawozdanie z czynności *Banku Ludowego* Sp. zap. z ogr. por. w Bytomiu [Górny Śląsk]

* * *

W Toruniu pewien kelner Polak (w ogrodzie Wiktoryi) denuncyował pewnego Polaka o wyrzeczenie słów przeciwko władzy pruskiej. Za to skazany został nasz rodak na karę więzienną. —

* * *

Polskie katolickie Towarzystwo w Helbra (w Saksoni) obchodziło 10-letnią rocznicę swego istnienia.

* * *

Z Parlina pod Mogilnem donoszą nam, że w roku bieżącym obecny ksiądz proboszcz ku żalowi wszystkich parafian zaniechał zwykłej procesyi na Boże Ciało, ograniczył ją zaś na ciasny cmentarz około kościoła. Parafianie przypominają sobie, że jeszcze w roku zeszłym, za życia dawnego proboszcza, odbyła się uroczysta procesya po wsi.

* * *

Smutną wiadomością dzielą się z nami nasi czytelnicy z Zabrza na Górnym Ślązku. Otóż tamtejsze Tow. kat. Młodzieńców, dotychczas polskie, przekształciło się nagle widocznie na niemieckie, bo o rocznicy swej zawiadamiało niemieckimi plakatami, drukowanymi w niemieckiej drukarni. Na samej zaś rocznicy, z małymi wyjątkami, śpiewano po niemiecku. Nawet do biblioteki swej sprowadza Towarzystwo niemieckie książki.

Protektorem Towarzystwa jest ks. kapelan Böhm.

* * *

W Bochum w Westfalii założone zostało nowe Towarzystwo polskie „Przemysłowców“. Prezesem jest pan Leon Trzebiński. Lokal towarzyski znajduje się u p. Meuse, Rheinnischestr. 7.

* * *

Nasi przyjaciele z Gerschede (prow. Nadreńska) donoszą nam, że na skutek naszego artykułu energicznie wystąpili w obronie języka polskiego na pomniku dla ks. Pabsta i że wskutek tego napis będzie w języku polskim.

Za energiczne zajęcie się tą sprawą należy się im podziękować. —

Polacy z *Bernburga* (Anhalt) nadesłali nam piękną zbiorową fotografią, którą umieścimy w jednym z następnych numerów dla wychodźców naszych. To samo i rodacy z *Uckendorfu* w Westf.

* * *

Z Krotoszyna donoszą nam, że szerzy się tam karciarstwo w zastraszający sposób.

* * *

Lwów z radością i rozkoszą witał Helenę Modrzejewską na scenie, witał ją z tem większym zapałem, że wielka artystka polska nie szczędząc trudów, przybyła, aby ze swej strony złożyć hołd Mickiewiczowi i swoim genialnym talentem przyczynić się do wzniesienia mu pomnika we Lwowie. Na przedstawienie złożyło się „Wnętrze" Maeterlincka, „Warszawianka" Wyspiańskiego i koncert wybornej orkiestry pod batutą p. Spettrino. Takiego uniesienia, takiego szczerego, gorącego zapału, takich oklasków, odpowiadających tętnu serc wszystkich, nie pamiętano dawno. Wielkiej artystce złożono wieńce i kwiaty, pomiędzy innemi wspaniałe wieńce od komitetu budowy pomnika Mickiewicza, od dyrekcyi teatru, od artystów itd., — ale najmilszym z pewnością dla niej był ten widoczny a powszechny zachwyt, to wymowne a jednomyślne uczucie podziwu i wdzięczności.

* * *

Wileńskie Towarzystwo rolnicze zajęte jest obecnie wprowadzeniem w życie podjętej w roku zeszłym myśli założenia wyższej szkoły rolniczej w Wilnie. Na naradzie w tej sprawie pod przewodnictwem prezesa Towarzystwa hr. Broel-Platera, wybrano komisyę dla wypracowania najpożądańszego typu zakładu naukowego i sposobu zebrania potrzebnych na ten cel funduszów. Komisya po zastanowieniu się przyszła do przekonania, że najwięcej odpowiadającym potrzebom miejscowym zakładem naukowym byłaby nie specyalna szkoła rolnicza, ale politechnika z wydziałami: rolnym, leśnym, mechanicznym, chemicznym i handlowym, oraz że dla tego rodzaju zakładu naukowego ofiarność ogółu, a głównie miasta Wilna byłaby znacznie większa. — Na założenie jednak podobnego instytutu, według orzeczenia kuratora okręgu naukowego, potrzeba około półtora miliona rubli. — Komisya przypuszcza, że w znacznej części potrzebny fundusz mógłby powstać, gdyby wszyscy właściciele ziemscy w guberniach litewskich, stanowiących jeden okręg naukowy, jako najwięcej zainteresowani, zgodzili się dobrowolnie opodatkować się po 10 do 20 kop. od dziesięciny użytecznej ziemi. Brakująca część dałaby się pokryć z ofiar dobrowolnych i z subwencyi miasta Wilna.

* * *

W r. 1890 odbył się pierwszy zjazd polskich redaktorów i wydawców gazet polskich w Stanach Zjednoczonych. Wypadł on nadzwyczaj pomyślnie pod każdym względem. Że zjazd ten nie wydał żadnych praktycznych, pożytecznych skutków, podobnie jak pierwszy kongres „katolicki", to nie jest winą ani samej idei takich zebrań, ani zebranych, lecz wina w obu razach spada na obrane komitety, które tak kongresowy jak i redaktorski nie okazały najmniejszego znaku życia po zjeździe i kongresie.

Obecnie projektują drugi zjazd redaktorów i wydawców polskich czasopism w Stanach Zjednoczonych i to w czasie kongresu, na którym będzie i tak wiele pism reprezentowanych. Do Buffalo na wszechamerykańską wystawę przybędą wszyscy reprezentanci ważniejszych pism polskich, tak samo na kongres, jeżeli ten wogóle przyjdzie do skutku, i drugi zjazd polskich redaktorów jest łatwy.

Z.

Z TYGODNIA.

Hakatystyczne pisma popisują się coraz częściej takiemi dziwolągami w swem rozwścieklenıu antypolskiem, że chcąc pojąć i zrozumieć ich pomysły trzeba się zniżyć do tego samego poziomu głupoty i znikczemnienia, na którym one stoją.

W ostatnim czasie znowu organ armaciarza p. Kruppa „Berliner Neueste Nachrichten" zamieścił wzmiankę z „arcycennego", a prawdopodobnie z arcygłupiego i arcypodłego źródła, zalecającą przeciwko polskim rekrutom, słabo mówiącym po niemiecku, nowy azyatycki środek: trzymania Polaków dłużej w sołdatach. Wzmiankę tę warto dosłownie powtórzyć:

Otóż „Berl. Neueste Nachr." piszą: „Jedna tylko droga nadaje się do tego, ażeby w armii uprzątnąć się z trudnościami, stwarzanemi przez polską agitacyą, a mianowicie należy ustanowić prawo, ażeby po ukończeniu dwuletniej służby: *„każdy żołnierz, który wskutek niedostatecznej znajomości języka niemieckiego wyćwiczenie swe opóźnia, był zobowiązany służyć jeszcze rok trzeci."*

Organ p. Kruppa pisze w końcu tak: „Jakkolwiek przez to nie zjedna się serc polskiej ludności, to jednak środek ten nadzwyczaj będzie zbawiennym; pobłażaniem i papką niczego się nie wskóra u Polaków, jak poucza historya ostatnich dziesiątek lat."

Jak ze stanowiska polskiego podłość takiego projektu oceniać mamy, nad tem rozwodzić się nie potrzeba. My broniąc swej narodowości, bronimy jednocześnie praw, zasad i ideałów ludzkich; wołając o prawo i sprawiedliwość, wołamy o nie w imię Boga, w imię chrześciańskiej prawdy, o miłości bliźniego."

Ztąd też jak wszelkie inne nikczemności, zwrócone przeciwko nam, traktować możemy też nowy pomysł gadzinówki berlińskiej tylko ze wzgardą. Ale nawet każdy wróg naszej narodowości o jako tako zdrowym rozumie ocenić musi projekt ten jako wytwór niezwykle chorobliwego szaleństwa. Bo czyż można sobie wyobrazić, że trzeci rok służby przerobi duszę polskiego rekruta, gdy ją przez dwa lata czystą i poczciwie polską zachować zdołał? Czy raczej nie nada tej duszy hartu, a w sercu więcej jeszcze przywiązania do swego plemienia i swej Ojczyzny, przy tej świadomości, że ten rok trzeci jest rokiem wielkiej niczem nieusprawiedliwionej, urągającej boskim prawom krzywdy?

A czy rodziny pokrzywdzonych rekrutów, a czy społeczeństwo całe nie odczuje tego nowego zamachu na równouprawnienie obywatelskie?

Organ p. Kruppa wyobraża sobie widocznie, że serce narodu ulać się i przelać da tak, jak armata za państwowe srebrniki, ulać w formy takie, jakie się dla celów państwowych nadają. I zapominają owi szaleńcy, fabrykujący hakatystyczną opinią, że serce narodu polskiego trwalszem jest od owych form, w które działa leją i trwalszem od spiżu, z którego milioner Krupp wyrabia machiny mordercze, zdobywając dla siebie dalsze miliony!

W imię słuszności i sprawiedliwości wszakże zapisać należy, iż nie wszyscy Niemcy przyklaskują tak łajdackim szaleństwom, że raczej różne organa protestują coraz głośniej przeciwko hańbieniu imienia narodu niemieckiego podobnie nieludzkiemi zamysłami.

Najsilniej zaś głos oburzenia wydał w odpowiedzi organowi Kruppa berliński „Vorwärts", zwracając się zarazem do całego niemieckiego narodu z zarzutem, że spada do rzędu społeczeństw, które z wściekłością niszcząc wszystko, co obce, tracą zdolność do coraz wyższego ukształcenia, że narodową swą istotę przerabiają na ślepy, bezpłodny i zgubny szowinizm. Ku końcowi pisze „Vorwärts" dosłownie tak:

„Heute haben unsre deutschen „Nationalen" nichts mehr von dem Deutschtum vor hundert Jahren, sie gehören zu jenen zweiten Völkern, die „allenthalben eine leere Stätte hervorbringen." Aber so weit wagte selbst die Napoleonische Weltmachtspolitik nicht zu gehen, dass sie den Gebrauch der Muttersprache wie ein Verbrechen	Dziś nasi „narodowi" Niemcy nie posiadają niczego z owej istoty niemieckiej z przed lat stu; należą raczej do drugiej kategoryi narodów, — do tych narodów, które wszędzie stwarzają pustkowie. Nawet światowa polityka Napoleona nie odważyła się zapuścić tak daleko, iżby miała używanie języka macierzystego, jakby

unter Strafe stellte. Unsre Hakatisten, die Schänder und Verleumder des Deutschtums, fordern selbst diese Ungeheuerlichkeit; denn nichts anders bedeutet der Vorschlag, Polen, die nicht genügend deutsch können, ein Jahr länger dienen zu lassen. *Die Sippe, die das heilige Naturrecht der Muttersprache derart schamlos und blöd antastet*, aber findet die wohlwollende Unterstützung der preussischen Regierung. Man begreift unter solchen Umständen den wachsenden Einfluss der polnischen Propaganda. *Denn wer möchte so ehrlos und feig sein, einer Gesellschaft von Unterdrückern sich zu fügen, zu dienen, die es sich herausnimmt, das Recht der Muttersprache mit Füssen zu treten, ihren Gebrauch unter Strafe zu stellen und die Aneignung der fremden Sprache durch Strafen zu erzwingen!* Unsre Germanisierungspolitik kompromittiert nur das Deutschtum, und muss schliesslich jeden anständigen Menschen zwingen, **polnisch zu denken.**“

zbrodnią jaką, poddawać karze. Nasi hakatyści, *ci hańbiciele i oszczercy niemieckości, są jedynymi, którzy żądają takich potworności*; albowiem potwornością jest projekt, ażeby Polakom, nie umiejącym dostatecznie po niemiecku, kazać służyć rok dłużej. *A szajka ta marna, co święte prawo natury, prawo języka macierzystego tak bezwstydnie i głupio narusza*, znajduje życzliwe poparcie u rządu pruskiego. Wśród takich okoliczności nie trudno pojąć rosnący wpływ polskiej propagandy. *Bo któżby chciał być tak bez czci, takim tchórzem, iżby społeczeństwu gnębicieli poddawał się i służył, takiemu społeczeństwu, które sobie pozwala prawo języka macierzystego deptać nogami, używanie jego poddawać karze, a przyswojenie obcego języka wymuszać karami.* Nasza polityka germanizacyjna kompromituje tylko niemieckość, a zniewala w końcu **każdego przyzwoitego człowieka do tego, aby być polskich przekonań.**“

Tak to nawet Niemcy rodowici, nie zapierający się swej narodowości z wstrętem spoglądają na to gwałtowne zniżanie obałamuconych szowinizmem rodaków do poziomu nierogacizny.

K. O.

Przegląd prasy.

Jakich sposobów używali centrowcy, aby tylko ubić w zarodku projekt głosowania w Duisburgu na pana Czarlińskiego, o tem przekonujemy się między innemi, z *„Wiarusa Polskiego“* w Bochum, który był kilkakrotnie atakowany pośrednio i bezpośrednio przez centrowców, aby tylko dał się nakłonić do wydania hasła za centrowcem. Pisze o tych staraniach, a nawet **groźbach centrowców „Gazeta Grudziądzka“**:

„Panowie centrowcy tak zupełnie wedle metody pruskiej pogrozili także, że gdy Polacy nie będą głosowali na centrowca, to oni, centrowcy, utworzą osobny komitet wyborczy polski, będą zwoływali wiece, na których przemawiać będą mówcy z Poznańskiego, i tak ostatecznie Polaków dla centrowego kandydata pozyskają.

„Tak to panowie centrowcy chodzili około swego interesu, chcąc po staremu wyłudzić od Polaków głosy, a za to potem — razem z innymi patryotami wygadywać na wielkopolską agitacyę. Tym razem sprawka im się nie udała, bo oto bez przyczynienia się „Wiarusa“, który się umyślnie cofnął, komitet postanowił nie głosować na centrowca, ale na Polaka.

„Można sobie wystawić złość panów centrowców, że owe pokątne starania nie przyniosły skutku. To też teraz blaty prusko-katolickie w rodzaju „Germanii“ kraczą na Polaków, że taki wielki błąd popełnili w „polityce.“

„No, to możemy owym prusko-katolickim blatom dać czarno na białem, że w przyszłości mogą się przygotować na rozmaite inne niespodzianki. Lud polski widzi, że dzisiaj nie warto popierać centrowców, bo to już nie ci sami centrowcy, co to za czasów Falków i Bismarków bronili prawa, prawdy i słuszności bez obawy zarzutu, że nie są dobrymi Niemcami. A na to, żeby głosami swemi panom Ballestremom i innym wielkim „katolickim“ Prusakom pomagać do pozyskiwania orderów i zjadania obiadów u ministrów, na to lud polski czuje się **za dobrym.** Lud polski może być przy wyborach sprzymierzeńcem niemieckich katolików i od tego się nie cofa, ale nie myśli wysługiwać się panom centrowcom jako bydełko wyborcze.

„W swej złości pragnęliby też centrowcy ośmieszyć wystąpienie Polaków na obczyźnie i powiadają, że kandydat polski, pan poseł Czarliński, wiele głosów nie otrzyma. Mamy nadzieję, że Wiarusy nasi na obczyźnie pokażą, co potrafi robotnik polski, gdy się ze serca weźmie do dzieła!“

Doprawdy, że gdyby nie wzgląd na zacną i sprawiedliwie nas traktującą „Kölnische Volkszeitung“, to nawet w drugiem głosowaniu centrowcy by nie otrzymali głosów polskich, taką niską bronią przeciw nam walczyli. Nasi przyjaciele z nad Renu nadesłali nam numery z rozmaitych pism nadreńskich, w których centrowcy napadają na *„Pracę“*, nazywając ją **tölpelhafte „Praca“** za to, że ona pierwsza wystąpiła z żądaniem stawienia polskiego kandydata, oraz na Dra Kaźmierza Rakowskiego, jako autora tego artykułu, nazywając go *„der vom Deutschenhass verblendete Führer des polnischen Radikalismus.“* Nie dość im jednak było wywrzeć swą złość na nas, jak np. „Gelsenkirchener Ztg.“ — ale nadto jeszcze pozwoliły sobie inne gazety centrowe napadać wprost na komitet wyborczy polski. *„Schlesische Volkszeitung“* pisała o komitecie, że „niewiadomo zkąd się wziął i kto go postawił“ — jak gdyby nasz centralny komitet wyborczy polski na obczyźnie był samozwańczym, a nie składał się z ludzi zasłużonych krajowi! a pogróżka zwołania fałszywego komitetu — czy to nie haniebna broń?

Centrowcy powinni rozumieć, że w obecnej walce o zagrożoną narodowość swą Polacy nie mogą się wyrzec na ich korzyść jedynej broni, jaką posiadają — to jest politycznego uświadomienia mas ludu prostego, czy w kraju, czy na wychodźtwie, nie powinni nam też brać za złe, że chcemy być sobą!

W **„Gazecie Polskiej“** (z Warszawy) znajdujemy krótki pogląd na walkę z polskością w Prusach:

„Pomysł bismarkowski wykupienia ziemi z rąk polskich nie wydał oczekiwanych owoców. Komisya kolonizacyjna zakupiła wprawdzie dużo ziemi, ale Polacy nabyli w tymże czasie sporo od Niemców, ustawa wyjątkowa zachęciła właścicieli ziemskich do oszczędności i usilnej a rzetelnej pracy do roli, równocześnie zaś włościaństwo polskie rozwinęło się w sposób nieprzewidywany przez rząd, stało się potęgą ekonomiczną i poczęło oryentować się w stosunkach politycznych. Te zaś jednostki, które nie zdołały utrzymać się na roli, sprowadziły się z resztkami mienia do miast, aby szukać zarobku w handlu i przemyśle. Ten nagły i dość wielki dopływ kapitałów ożywił znacznie handel i przemysł polski, miasta nabrały wyglądu polskiego i rząd po kilkuna stu latach pracy germanizacyjnej zrobił spostrzeżenie, że żywioł niemiecki nietylko nie zdoła opanować ziemi w stopniu zamierzonym, lecz, zaczyna tracić nawet w miastach grunt pod nogami.

„Dla polityka trzeźwego i rozważnego ten rozwój stosunków byłby dowodem, że droga, na którą wprowadził ks. Bismark politykę względem Polaków, jest błędna i trzeba z niej zawrócić czemprędzej. Domorośli politycy niemieccy jednak szeregowani w „towarzystwie dla obrony niemczyzny,“ wysnuli z faktów scharakteryzowanych wyżej wnioski najfałszywsze. Zaślepia ich nienawiść, wyprowadza z równowagi niepowodzenie, niepokoją objawy wyrastającej w skutek ustaw wyjątkowych ruchliwości Polaków i wzmagającej się coraz więcej niechęci do Prusaków, trwoży widmo dalekiej, nieznanej przyszłości. Polacy nie dają się zgermanizować, stawiają opór, odwracają się od państwa, które chce ich pochłonąć. Trzeba ich więc zmiażdżyć, obezwładnić zupełnie — wszelkiemi środkami i sposobami, aby kraj, który zamieszkują, utracił na zawsze polski charakter i wszelkie dawne znamiona historyczne. To ostateczny cel hakatyzmu.

„Odkąd hakatyzm ogarnął koła urzędnicze, sprawozdania, nadsyłane do Berlina, przedstawiają stan rzeczy w takich barwach, w jakich widzą go hakatyści. Gdy hakatyzm ogarnął szerokie warstwy ludu, większa część prasy oddała się na jego usługi, i wszystkie oskarżenia, oszczerstwa i plotki, przedstawiające opór ludności polskiej w świetle bardzo jaskrawem, rozlały się tysiącami kanałów

po kraju i tysiącami kanałów napływają do ministeryów.

„Odtąd program hakatystów stał się programem rządu, i rozpoczęła się gorączkowa praca nad wyłowieniem wszelkich objawów nieprzychylności Polaków do Prus, nad tłumieniem wszelkiego ruchu podejrzanego, paraliżowaniem wszelkiej działalności Polaków czy to na polu ekonomicznem, czy politycznem. Co się dzieje dziś w dzielnicach polskich Królestwa pruskiego, jest tylko dalszym ciągiem akcyi, podjętej przez p. Miquel'a. Wyznaczono najpierw 100 milionów na wzmocnienie żywiołu niemieckiego po miastach. Nikt jednak nie umie powiedzieć, jak użyć tych pieniędzy, aby wydały upragnione owoce. Szydercze uwagi Polaków rozgoryczyły do reszty hakatystów i rząd za nimi stojący. Zaczęto wyławiać u polskich uczniów książki polskie (rozpowszechniane w handlu księgarskim, nie zakazane), zabraniać wspólnego zbierania się celem nauki.

„Sięgnięto do uniwersytetów i znaleziono tam naturalnie także kółka. Tu już była młodzież dojrzalsza, można było z ich zebrań zrobić wielką akcyę polityczną i przeprowadzić wobec całego świata sensacyjny proces o „spisek skierowany przeciw państwu". Wreszcie zwrócono się do warstw najniższych — do małych dzieci z prostego ludu, i żandarmi wkraczają do kościołów, gdzie księża udzielają dozwolonej przez prawo nauki religii, aby stwierdzić wiadomy wszystkim fakt, że nauka odbywa się w języku polskim, oskarżyć księży o wykroczenie przeciw ustawom szkolnym, a dzieciom odbierać książeczki. Do czego jeszcze doprowadzi ta nienawiść i ten fanatyzm strachu przed urojonym widmem? Prawdopodobnie do starań o zniesienie konstytucyi dla dzielnic polskich. Skutkiem występowania władz przeciw uczniom szkół średnich, dziesiątki, a zapewne i setki będą zmuszone do opuszczenia szkoły i poszukania zajęć praktycznych. Jest to zaś młodzież z klas najwyższych, rozwinięta pod względem umysłowym i posiadająca dużo wiadomości. Młodzieży takiej dotąd brak był w handlu i przemyśle polskim. Ktokolwiek miał jakiekolwiek zdolności, dążył do zawodów uniwersyteckich. Obecnie będzie inaczej — zaprawdę, nie ze szkodą dla społeczeństwa."

Największą szkodę z działania hakatystów poniosą z pewnością — Prusy.

B. M.

Specyalna korespondencya „Pracy."

Zakopane, 28 lipca 1901.

Kto widzi Zakopane w obecnej chwili z jego wilami i dworkami, z ulicami przepełnionemi tłumem pań w efektownych toaletach, z składami zaopatrzonemi we wszelkie luksusowe przybory stolic europejskich, z powozami, z miejscami do lawntennisu, ten poznać nie może tego Zakopanego, do którego przed kilkunastu jeszcze laty jechało się furką góralską z Krakowa, wioząc ze sobą pościel, prowianty, statki kuchenne i całą apteczkę domową na kampanią górską w chatce górala.

Obecnie stoi Zakopane na takim stopniu cywilizacyi, że jadąc tamdotąd nie potrzeba w nic innego się zaopatrywać, jak w zwykłą odzież i bieliznę. Pensyonaty i hotele zapewniają dobre utrzymanie, składy wszelkiego rodzaju uzupełnią braki garderoby, legion lekarzy stoi na usługi w razie najmniejszej niedyspozycyi; w towarzystwie, jakie się w Zakopanem spotyka, można znaleźć właściwą sobie sferę i dobrać ensemble, zabawy mniej lub więcej tańcujące odbywają się kilka razy w tydzień, tudzież przedstawienia i gościnne wszelkiego rodzaju wielkości; są cukiernie, traktyernie, winiarnie etc.

Jeśli się jeszcze doda, że klimat podalpejski wprost cudownie działa na pokrzepienie sił, że wspaniałe widoki w dolinach dla słabszych, a na szczytach dla silniejszych wprost wymarzonym są kątem świata, że swoboda nieznana pod innemi zaborami na każdym kroku mile dotyka, że ani aroganckich żydów warszawskich, ani cuchnących galicyjskich się nie spotyka, to każdy mimowoli się zdziwi, że wobec tych wszystkich dodatnich stron, Polska jak długa i szeroka tak mało korzysta z tego zakątka, w którym każdy znajduje duszne ukojenie i cielesną siłę.

Rokrocznie zastępy całe wloką się do wszelkiego rodzaju badów i brunnów, aby tam wśród najnudniejszego otoczenia, wśród pospolitej często okolicy, na podłej kuchni zmarnować kilka tygodni życia i wiele pieniędzy i potem z równem przygnębieniem wracać do domu.

Nie mamy tu na myśli takich, którzy na swe choroby potrzebują zastosowania specyalnych kuracyi w rodzaju Karlsbadu lub kąpieli morskich — lecz tych wszystkich, którzy corocznie utartym zwyczajem wyjeżdżają w zwykłym czasie na wypoczynek, i twierdzimy, że największy gwałt, aby raz zaprzestano wędrówek w obce strony.

Póki Zakopane było jeszcze zapadłą wsią górską bez mieszkań i środków żywności, tłomaczenia się z abstynencyi wobec stron ojczystych były możliwe — dzisiaj wprost ani uchodzą. Dzisiaj do Zakopanego samego wiedzie kolej żelazna, a jak wspomnieliśmy wyżej, mieszkania odpowiadają wszelkim wymaganiom europejskim, kuchnią znajdzie każdy stosowną do swych potrzeb polską lub francuzką, w sezonie nie brak rozrywek, okolica przewyższa urokami swemi miejscowości kuracyjne w Niemczech, towarzystwo odnośnie do pensyonatu znajdzie się dobrane, a wybitnych ludzi z wszelkich stron Polski tak samo dla sensacyi nie brak w Zakopanem, jak najnowszych gatunków szampańskich win i najmodniejszych sukien i kapeluszy. Dla nas Wielkopolan zawiera jeszcze Zakopane inne tajemnice ukryte dla oka obcego turysty. Już podróż do Zakopanego stanowi uwerturę do tego świata ożywiających źródeł.

Wstęp po drodze do Krakowa stawia nam przed oczy potęgę naszą polityczną i kulturalną we wiekach średnich, widok tylu zabytków historycznych obok tętna nowoczesnego życia umysłowego i artystycznego daje nam świadomość naszego znaczenia w dziejach świata i zarazem stanowiska, jakie obecnie nasz naród w pochodzie ludów dzierży.

Dla każdego z nas przygnębionego beznadziejnością obecnej politycznej sytuacyi i podłością systemu oraz ludzi, z jakimi się w życiu publicznem spotykać wypada, rozdrażnionego szorstkością i gburowatością wykonawców litery prawa i administracyi — oddziałuje ten jaśniejszy horyzont krakowski, ten naród, który taką zwartą masą idąc, wszędzie tam sobą się czuje, ta swoboda ruchów, łatwość obcowania z urzędnikami w jakiejkolwiek dziedzinie życia publicznego — jak jakiś kojący żywioł, który wnika nam balsamem do duszy.

A jeżeli widok Krakowa i pobyt w jego murach na dorosłych i dojrzałych tak oddziaływuje, o ileż dopiero wpływ ten potężnie i trwale odbić się musi na wrażliwej młodej duszy.

To też do Krakowa i jego pamiątek starych i jego haseł nowych trzeba nam wysełać naszą młodzież jako do źródeł ożywczych po wiarę dlań i po siłę do walki i po miłość ku ojczyźnie, a przedewszystkiem po nadzieję w naszą przyszłość. Mimowiednie wysączą się tradycye nasze narodowe w serce chłopca i dziewczyny i zagrają pobudkę do pracy na polu narodowych ideałów.

Tam u stóp Wawelu nabiorą te dzieci naszego narodu przekonania, żeśmy ani tak słabi, ani dołężni, ani tak pogardy godni — jak nam to Prusacy głoszą — a hasło „Ausrotten" jest równie idyotyczne jak podłe.

Zdarza się, że dla kształcenia dziecka lub wytchnienia posełają je rodzice do Berlina, do Paryża, do Gór Olbrzymich lub do Saskiej Szwajcaryi — i taki gimnazyasta lub pensyonarka poznawszy cudzą kulturę i krajobrazy obce unosi się nad niemi i z lekceważeniem myśli i wyraża się o Ojczyźnie, sądząc ją tylko po tem, co zubożała Wielkopolska daje.

W Krakowie upokorzy się dusza taka przed wielkością Jagiellońskiej epoki — i nic już w oczach jej znaczyć nie będzie filisterski Berlin — nic kultura podoficerów i biurokratów.

A Eldorado to dla każdego dostępne! Widzimy tu na każdym kroku rzemieślników, mniejszych kupców, nauczycieli

którzy zrozumiawszy znaczenie Zakopanego, obliczyli, że koszta nie większe niż gdzieindziej, a korzyści niezmierne.

S. T.

Głosy od Przyjaciół.

Z Bukowskiego.

Kochana „Praco!“

Udaję się do Ciebie, kochany Wydawco, bo Ty jeden ze wszystkich pp. redaktorów najbardziej umiesz odczuć, nad czem lud nasz cierpi. — Dzieci nasze, które matka pacierza świętego nauczyła i miłości do kochanej religii naszej, dziś w szkole niemieckiego uczą pacierza. Dzieci powtarzają pacierz jak zaciąg dla szkoły. Nie czują, co mówią. — Chociaż to tylko pacierz w szkole, a w domu po polsku mogą westchnąć do Boga, to jednak mały rozum dziecka, niewie teraz co pacierz, a co nie. Teraz kończą się niedługo ferye latowe, i my nie wiemy, co począć, i jak dzieciom naszym wytłómaczyć, co Panu Bogu jest miłe, a co się robi dla nauczyciela. — Najchętniej byśmy nie posyłali dzieci do szkoły na naukę religii, tylko dzieci boją się bicia nauczyciela. Nieraz to chętka bierze przemówić do ...., ale potem mścić się tylko będzie na dzieciach.

To Ci donoszę, kochany Wydawco, abyś poradził nam w kochanej „Pracy“, jak mamy ratować serca dzieci naszych, — bo to, co ci napisałem, każdy z naszych stron powie Ci tak samo.

I. S.

W tej ważnej i piekącej sprawie zabierzemy głos w jednym z następnych numerów. — Przyp. Redakcyi.

* * *

Z Hildesheimu.

Tutejsze Towarzystwo polskie św. Bernarda obchodziło dnia 21-go kwietnia piątą rocznicę swego istnienia w domu katolickich towarzystw.

O godzinie w pół do ósmej wieczorem powitał przewodniczący p. Wróbel gości i oznajmił program zabawy. Odwiedzili nas też rodacy kółka polskich towarzystw śpiewackich „Halka“ z Hanoweru, którzy przed rozpoczęciem teatru wystąpili ze śpiewem.

Odegrane były 3 szuczki narodowe przez J. Chociszewskiego. — Po teatrze nastąpiły tańce, cała zabawa odbyła się świetnie, lecz niestety przy małym udziale rodaków. — Nie dziw też, że rodacy lgną do niemczyzny, jak muchy do miodu, widocznie nie pojmują, że mowa ojczysta to dar Boży, który kochać i pielęgnować należy, bo kto język polski kocha, ten nie tylko sam się nim posługuje, ale stara się zamiłowanie do mowy ojczystej wszczepić także w swe dzieci.

Dziwić się nie można, że rodacy tak łatwo zaniedbują sprawy narodowe, bo ten biedny lud już przebywa od roku 1873-go na obczyźnie i prawie pozbawiony jest książek polskich. Mamy tu też rodaków, którzy są już zupełnie zniemczeni, chociaż dobrze po niemiecku nie umieją, po polsku mówić nie chcą, a dzieci ich to nie tylko, że pozbawione mowy ojców, ale i wiary świętej.

A więc od ostatniego przedstawienia postanowili członkowie Towarzystwa naszego energiczniej się starać, ażeby pomiędzy tym ludem krzewić gazety dobre z tą ufnością, że chociaż może kilka tych zbłąkanych owieczek da się oświecić i że złym zamiarom uda się zapobiedz.

I. W. p. T.

* * *

Duisburg.

Kochana „Praco!“

Było to w tak zwany Wielki Piątek. Ku mej wielkiej uciesze znalazł zatrudnienie w tym samym warsztacie, w którym i ja pracuję, także młody Polak, zrazu jednak nie mogłem się przekonać, czy on jest Polakiem. A gdy w Wielki Piątek wszyscy świętowali, a ja tylko pracowałem, przychodzi do mnie ów Polak, pochodzący z Nidborka z Prus Wschodnich i zapytuje mnie:

— Was bis du für Landsmann?

Ja odpowiadam mu, żem „Poznaniak“.

— A coś ty za jeden?

— Wschodnio-Prusak.

— A umiesz też po polsku mówić?

— Nie — odpowiada.

Nic na to nie mówiłem, gdyż niedługo trwało, a przychodzi do mnie jeden z mych przyjaciół i mówimy sobie po polsku, a ów Wschodnio-Prusak słucha, a po odejściu mego przyjaciela znów mnie zapytuje, czy ja po polsku mówiłem?

— A przecie żeśmy Polakami, to też tylko po polsku ze sobą rozmawiamy.

— Das kann ich auch.

— No, dlaczego nie mówisz ze mną po polsku, kiedy jesteś Polakiem? pytam go się — przecież widziałeś, że ja tutaj mam polskie gazety i wszyscy ci już także opowiadali, że jestem Polakiem.

— Ano widzisz — mówi do mnie — ja też mówiłem tutaj w tych stronach po polsku, ale te Niemcy to się z człowieka wyśmiewają, do tego powiedzą ci jeszcze „du „Vaterlandslosergeselle“ itd. i ciągle się śmieją. — Na to ja do niego mówię:

— O bracie wiarusie, nie rób sobie z tego nic — oni nie z nas, tylko z własnego wstydu się śmieją, ale my Polacy sobie z tego nie potrzebujemy zgoła nic robić, przeciwnie szczycić się powinniśmy z tego, że naszej narodowości nam Niemcy zazdroszczą. Jeśli chcesz, to w niedzielę pójdź ze mną do polskiego Tow. na zebranie.

Chłopak przyszedł, członkiem został, na zebrania regularnie uczęszcza pomimo tego, że ma teraz dość daleko, bo kolej kosztuje w jednę stronę 30 fenigów, jednakże zawsze jest nadzieja, że Polakiem pozostanie. Na początek ma sobie sam zapisać „Pracę,“ co też niewątpliwie już uczynił. — Z jednem tylko pisaniem jest licho, bo po polsku nikt go pisać nie nauczył.

Kochana „Praco“, odebrawszy we Wielkanoc kilka egzemplarzy na okaz, starałem się Rodaków z „Pracą“ zapoznać. — Wybrałem się także w odwiedziny do znajomego, mieszkającego w Laar, a gdym mu „Pracę“ polecał, to jego żona zaczęła z tego powodu wygadywać: — a ja ci tu dam znów pieniądze na gazety wydawać, teraz trzeba oszczędzać itd.

I tak się dzieje często, że choć jeden i drugi rodak chętnie by sobie „Pracę“ zapisał — to w bardzo wielu razach żona jest temu przeciwna, a to po dziś dzień dla nas Polaków a zwłaszcza tutaj na obczyźnie jest najsmutniejszą rzeczą. — A teraz na zakończenie listu mego dzielę się z Tobą, kochana „Praco“ i Twemi Czytelnikami, żem znów 5-ciu nowych zwolenników dla Cię zyskał.

I. A.

* * *

Z Górnego Śląska.

Ruch narodowy na G. Śląsku coraz szersze ogarnia koła. Dowodem tego coraz śmielsze występowanie jednostek, które dotąd z bojaźni trzymały się na ustroniu. Są to przeważnie ludzie ze stanu gospodarczego lub roboczego. Dalszym dowodem jest też coraz to większa liczba gazet rozchodząca się między ludem. Są to po wielkiej części gazety wychodzące poza granicami Śląska lub nawet Prus. Lecz uśpienie polityczne sięga jeszcze bardzo rozległych warstw społecznych, i tem daje się wytłomaczyć wypadki ogłaszane w „Pracy“, że często wielka część ludu, a pomiędzy nim nawet tacy, co po 20 lat niektóre pisma czytają, nie ma najmniejszego wyobrażenia o historyi polskiej lub najważniejszych jej wypadkach, albo że sobie uważa za zaszczyt być członkiem jakiego „niemieckiego vereinu“ lub swoje dzieci na niemiecki katechizm posyłać. Jak bowiem człowiek prosty może wyrobić sobie jasny pogląd na sprawy, które go obchodzą, jeżeli gazeta mu ich nie podaje a jeżeli już kiedy z konieczności napisze, to tak sucho i zimno, że sama odstręcza od czytania artykułów omawiających takie sprawy. Niektórym gazetom na G. Śląsku brakuje tego ciepła, które każda gazeta polska w dzisiejszych czasach mieć powinna, tego ognia narodowego, któryby czytających je zapalał i w miłości wszystkiego, co swojskie rozbudzał i utrwalał. Gdyby gazety Górnego Śląska lepiej i w duchu bardziej narodowym były pisane, to sprawa polska, świadomość i poczucie narodowe na G. Śląsku o wielki krok naprzód byłyby postąpiły aniżeli obecnie stoją. Naprzykład taki dzierżawca restauracyi „Banku ludowego“ w Bytomiu a więc w centrum życia polskiego na G. Śląsku, który sam jest Polakiem, zaliczającym się nawet do stanu lepszego, nie poczuwa się do obowiązku abonowania więcej gazet polskich jak tylko „Dz. Szląski“, podczas gdy niemieckie gazety jak „Woche“ „Simplicisimus“, „Illustrirte Ztg.“ itd. całemi tuzinami się po ścianach rozpierają.

Także w sprawie stosunków ludności polskiej do centrum na Górnym Śląsku jeszcze żadna z gazet tutejszych głosu nie zabrała.

Jeszcze jest czas do odwrotu, lecz potrzeba go jak najspieszniej wykonać, a nie zwlekać do ostatniej chwili przed wyborami, bo może być za późno! Co zaś do inteligencyi polskiej na Górnym Śląsku, nie biorącej udziału w duchu narodowym i wogóle w sprawach publicznych obchodzących lud polski, to ubolewać należy, że między wyższemi sfe-

rami społeczenstwa polskiego plewy takie się znajdują, zmniejszające się na szczęście z roku na rok. Pocieszającym też jest przykład, który w ostatnim czasie tu w Bytomiu się wydarzył, a jest godnym do naśladowania przez wszystkich tutejszych „inteligentnych“ Polaków. Oto jeden pan polski posłał swoją córkę, uczęszczającą do wyższej szkoły, na polski katechizm. Cześć i uznanie mu za to otwarte wyznanie swej narodowości! Gdy gazety i inteligencya tutejsza, śmiało i otwarcie i zgodnie z uczuciami ludu występować będą, wtenczas całkowitego przeistoczenia obecnych stosunków na Górnym Śląsku rychło spodziewać się można. Ruch narodowy na G. Śl. już tak jest mocny, że ani opór gazet, ani ociąganie się inteligencyi w sprawach publicznych go nie złamie i nie osłabi, i że przyjdzie czas, w którym te oba czynniki pod naciskiem tego ruchu narodowego zawrócić będą musiały. Czy jednakowoż wtenczas to przymusowe nawrócenie nie wyjdzie im na szkodę?

„Ostry-Polak.“

* * *

Essen.

Kochana „Praco!“

Miasto Essen (prowincya nadreńska) liczy 5000 Polaków, a z przedmieściami liczy razem z 18,000 Polaków. Rodzaj główny zatrudnienia takowych jest praca w kopalniach węgla i w fabrykach stali i żelaza.

Przemysł polski prawie wcale nie istnieje. Istnieje tutaj w miejscu, o ile mi wiadomo, pięciu krawców i dwóch szewców samodzielnych jakoteż kilka mniejszych składów towarów kolonialnych a raczej mieszanych, których jako handle kupieckie uważać nie można. Tak górnicy jako i robotnicy zarabiają od 3,50—7,00 mk., czyli przeciętnie 5 mk. dziennie. Sprawa opieki duchowej jest nader opłakana i nie ma do tego czasu na tak pokaźną liczbę Polaków ani jednego polskiego kapłana, a władza duchowna niemiecka uprawia więcej harce germanizacyjne, jak oddaje się obowiązkom kapłańskim. Dwa lub trzy razy do roku odbywa się jakieś polskie kazanie, łamaną polszczyzną.

Z tego też powodu jest i spowiedź naszą kośćią, ponieważ lud polski po niemiecku spowiadać się nie umie, pomimo iż włada językiem niemieckim, czego księża niemieccy zrozumieć nie mogą czyli nie chcą. Po powtórnem pukaniu i zabiegach nadeszła wiadomość od arcybiskupa z Kolonii o nadesłaniu księdza Polaka, lecz trzeba zaczekać, czy to oczywiście nastąpi lub spełznie tylko na obietnicy, jak to już częściej było.

W Essen znajdują się dwa towarzystwa i to: „Tow. św. Józefa“ i „Tow. św. Antoniego“ oraz Kółko śpiewackie „Dzwon“. Są jednostki, które dbają o polskość i o odpowiednie wychowanie dzieci, lecz większość wychodźców nie wiele dba o narodowość.

Łączą się wprawdzie dosyć licznie w towarzystwach, lecz główny cel jest obradować nad zabawami, których bez miary wyprawiają i oddają się zbytnej hulatyce niepomnąc, iż przy obecnych uciśnionych stosunkach przyszłość materyalna stanowi jeden z głównych filarów, bo z niczem w ręku walcząc, jest bardzo trudno dotrzymać miejsca na polu bitwy. Nawołuje się wprawdzie na posiedzeniach „Rodacy popierajcie swoich“, lecz tylko jednostki do tego się poczuwają i należytą oszczędność i popieranie wzajemne na oku mają. Organ robotniczy „Wiarus Polski“ nie gromi tych wybryków, ponieważ im więcej zabaw i hulatyki, tym więcej ogłoszeń w „Wiarusie“. To też pomimo lepszego zarobku, który wolą zanieść do Niemca lub żyda jak do swego, tylko mała liczba do czegoś przychodzi i grosza zaoszczędzi.

Pozdrowienie zasyła
M. K.



Ksiądz Proboszcz-Jubilat Paweł Frysztacki.

Złoty jubileusz
księdza prob. Frysztackiego.

Jeden z najstarszych kapłanów Górnego Ślązka, wielebny ks. prob. *Paweł Frysztacki* w Chróścinie, w powiecie Opolskim, obchodził dnia 26 z. m. 50-letni jubileusz swego kapłaństwa. Uroczystość ta była wielką nie tylko dla samego czcigodnego Jubilata, nie tylko dla jego parafii, ale dla całego powiatu i Górnego Śląska. Jubilat był po swem wyświęceniu kapelanem w Grzędzinie i Głogówku, poczem pełnił obowiązki kapłańskie i duszpasterskie w różnych parafiach powiatu, jako to w Popielowie, Starych Budkowicach, Siołkowicach; wreszcie mianowany proboszczem w Chróścinie, o milę od Opola, przebywa tam sędziwy ks. proboszcz, pełen czerstwości i zdrowia, aż do dzisiejszego dnia i sprawuje tamże obowiązki kapłana i duszpasterza parafii.

Powiadamy, że złoty jubileusz księdza Frysztackiego był uroczystością wielką dla Górnego Śląska. Jubilat bowiem pozostawił wszędzie, gdzie wzniosły swój urząd kapłański sprawował, jak najlepsze po sobie wspomnienie i tę miłość serdeczną ludu do kapłana, którą miał w sercach wszystkich rozniecić.

Ks. Frysztacki jest znany w całym powiecie, a i na całym Śląsku jako prawy syn ludu polskiego, a w niejednej stanowczej i rozstrzygającej chwili dał dowód swych sprawiedliwych przekonań, stojąc bez wahania po stronie ludu i jego uprawnionych żądań.

Żyjąc i pracując na przełomie, gdzie skostniały duch pewnych warstw społeczeństwa naszego tchnie obojętnością, gdzie tyle umysłów spaczonych, gdzie tyle nawet fałszu i obłudy dla prywatnych względów światowych zakaża i niweczy zdrowe jądro narodu; — żyjąc, powiadamy, w tak nader niewesołych stosunkach, wysoko cenić musimy kapłanów tej miary, co nasz szanowny Jubilat.

Ani on wprawdzie wielki bohater, ani pisarz i literat, ani mąż sławy i rozgłosu, ale *czcigodny* w całem znaczeniu tego wyrazu kapłan i wierny, szczery, serdeczny syn tej żywej, lecz znękanej i na ciężkie doświadczenia wystawionej ziemi polsko-górnośląkiej.

Dlatego lud polski górnośląski, czytający „Pracę“ niech prosi Boga, aby wszyscy synowie ludu, poświęcający się powołaniu duchownemu, sercem i duszą zrośli się z ludem i byli mu tak w kościele, jak nie mniej na całej szerokiej drodze życia kapłanami idei, wypowiedzianej przez ś. p. księdza Damrotha, a wyznawanej także przez Jubilata, że „przy Ojców mowie, wierze aż do zgonu stać będziemy“ — i że „nie cudem, ale trudem, miarą, wiarą i ofiarą zostaniemy dzielnym ludem!“

Cześć księdzu proboszczowi Frysztac-

kiemu. *Niech żyje przy równie jak dziś czerstwem zdrowiu jeszcze długie lata drogi nam wszystkim Jubilat!*

„Praca.“

* * *

Z młodości Jubilata.

Ks. *Paweł Jan Frysztacki* urodził się 21 czerwca 1827 roku w miasteczku *Żorach*, w powiecie Rybnickim, jako syn mieszczanina Franciszka Frysztackiego, zajmującego się rolnictwem i sukiennictwem i jego małżonki Maryanny z Piecuchów.

Nieboga matka mu powiadała, jak pisze sam Jubilat: „Tyś był dobrem dzieckiem, nie wrzeszczałeś, nie płakałeś, tylko mroczno patrzałeś, gdy ci co nieprzyjemnem było!“

Nieboszczyk ojciec go „chudyczką“ nazywał, gdyż nie był tak tłusty, jak jego o dwa lata młodszy brat Konstanty, ulubieniec ojca.

Jubilat, który dziś jeszcze odznacza się wesołym humorem i żartobliwem usposobieniem, płatał za lat dziecinnych rozmaite figle, które sam jako miłe dla siebie wspomnienie wesołej młodości opisał.

Zaledwie Pawełek 4 lata skończył, już go ojciec zaczął uczyć po polsku czytać; gdy liczył półpięta roku, zaprowadził go ojciec do szkoły, lecz nauczyciel nie chciał go dla zbyt młodego wieku przyjąć; gdy jednak ojciec powiedział: „on już umie czytać“, nastąpił pierwszy egzamin, który tak dobrze wypadł, że nauczyciel kazał mu między dzieci szkolne usiąść.

Zamiast jednak się uczyć zaczął najprzód od różnorakich żarcików. Tak pewnego razu, siedząc na ławie szkolnej bez poręczy, porobił ze smoły cichaczem kulki, które pokazywał chłopcom i dziewczętom. — Te myśląc, że to słodka lukrecya, prosiły go: „Daj mi też, daj mi też!“ — a on szczodrze im dawał. Dzieci nie poczuły słodyczy, lecz za to posmoliły sobie usta. Więc gdy nauczyciel wszedł do szkolnej izby, słyszał skargi, a widząc umorusane twarze, położył sprawcę na stołek i naliczył mu trzy trzciną. Ukarany wstawszy i spostrzegłszy dzieci stojące na ławkach z pomorusanemi twarzami nie mógł się od śmiechu wstrzymać, dzieci zaś chórem skarżyły: „Oto się jeszcze śmieje!“ Lecz nauczyciel sam rozśmieszony, nie zważał już na tę skargę!

Szkoła, do której Paweł uczęszczał była dobra. Choć nauczyciel miał 200 dzieci, to jednak nauczył go dobrze czytać i pisać po polsku i po niemiecku.

Dostawszy się do wyższej klasy Pawełek uciekł pewnego razu ze szkoły. Tyle jeszcze słyszał, że nauczyciel wołał: „Gońcie go!“ Lecz uczniowie nie zdołali go schwycić, biegnąc zwyczajną ulicą prosto na rynek miasta, podczas gdy on był skręcił poboczną drogą między cmentarzem a tylnemi budynkami rynku. Gdy następnie w domu niósł z podwórza drwa rąbane, ujrzał sługę policyjnego ze szablą z głównej ulicy do długiej sieni domu przedniego wstępującego, a domyśliwszy się z błyskawiczną szybkością: „ten ze szablą idzie po mnie“, rzucił drwa i uciekał do wsi Pielgrzymowic, do wujka swego, proboszcza Bargła. Już był w sieni tylnego domu, gdy go silną ręką uchwycił ojciec, mówiąc: „Pójdę z tobą, nie bój się.“ Jubilat słyszał z ust sługi policyjnego te słowa: „Na rozkaz burmistrza“. Tak tedy w trójkę szli przez rynek aż przed nauczyciela, lecz całe zajście zakończyło się łagodną przemową nauczyciela: „Ty żabo mała, tym razem ci daruję, ale na drugi raz cię surowo ukarżę.“

Pomimo wszystko Jubilat należał do pierwszych uczni w szkole, tak iż ojciec kazał go uczyć najpierw prywatnie łaciny, a następnie oddał go do gimnazyum w Gliwicach.

Rozpocząwszy od seksty, a doszedłszy do tercyi, opuścił Jubilat gimnazyum i wstąpił do preparandyi nauczycielskiej w Żorach, gdzie się ćwiczył w muzyce i uczeniu dzieci szkolnych przez $1^1/_4$ roku. Następnie wrócił do gimnazyum w Gliwicach i został przyjęty do niższej tercyi bez egzaminu, a 18 sierpnia do niższej sekundy przesadzony, tak iż w gimnazyum w ogóle przebył tylko 7 i ćwierć roku. W jesieni r. 1847 dostał się do Wrocławia na uniwersytet, gdzie słuchał teologii i praw obojga. Tam w r. 1848 pewna panna oświadczyła Jubilatowi przez pośrednictwo gospodarza w jej domu mieszkającego, aby Jubilat się z nią ożenił, a potem medecyny słuchał (studyował). Lecz Jubilat odpowiedział jej, że nie ma zamiaru odstąpić od teologii.

W zimie r. 1850 jeszcze jedna pokusa przyszła na Jubilata, gdy brał udział we wielkim balu studentów uniwersytetu. Na tym balu, gdy tańczono kotyliona, poprzypinały dziewice Jubilatowi siedm pięknych orderów, lecz i te sukcesy nie zachwiały go w raz obranej drodze do stanu kapłańskiego. Pewien student-filolog, nie otrzymawszy żadnego orderu, żądał od Jubilata choć jednego orderu, kiedy ich miał aż siedm. Lecz Jubilat, jak zwykle żartobliwy, odpowiedział: „A czy ja jestem dama?“ Filolog był bardzo oburzony i odszedł z kwaśną miną.

Tego samego roku wstąpił Jubilat do alumnatu a 23 czerwca r. 1851 został na kapłana przez kardynała Melchersa wyświęcony.

* * *

„Gazeta Opolska“ zamieściła z powodu jubileuszu wiele listów, wierszy i t. p., z których na wyszczególnienie zasługują następujące:

Z parafii.

Parafianie wytężyli swoje siły, aby jaknajpiękniej przybrać i ustroić plebanią, bramy i dom Boży dla uświetnienia uroczystości. Niewiele parafii doznawają tego zaszczytu, że w nich ks. proboszcz dożyje i obchodzi złoty jubileusz kapłaństwa. Co do duchowieństwa uczcili ks. Jubilata kapłani dekanatu Pruskowskiego podarunkiem pięknego kielicha do mszy św., który mu wręczył ksiądz dziekan Sukacz, zanim z procecyą ks. Jubilata do kościoła na nabożeństwo poprowadzono, również wręczył ks. S. Jubilatowi powinszowanie prześwietnego urzędu biskupiego i dyplom, przez który Najprzew. książę-Biskup, kardynał Jerzy, chwalebnemi słowami ks. Jubilata mianował dziekanem honorowym. Zaszczycili uroczystość tak rzadką też zacni kapłani, mianowicie ks. dziekan i radzca duchowny Philippi z Łąk pod Pszczyną, który w Żorach, skąd ks. Jubilat rodem, a które niestety bardzo zniemczałe, z polskim ludem katolickim, sławnym na cały świat walkom w „kulturkampfie“ zwycięsko przewodniczył; także był obecnym ks. dr. Nickel, Zoranin, profesor na akademii wrocławskiej, dalej profesor dr. Sprotte z Opola i ks. Woyski, prob. z Łącznika Prądnickiego. Zaznaczyć należy, że ks. Jubilat, co się tyczy piśmiennictwa nie był bezczynny, bo tylko czasy niefortunne temu winne, iż katechizm przez Jubilata we wierszach pisany, nie przyszedł do druku. Nie upadał ks. proboszcz Frysztacki, jako szczery przywódzca polskich wiarusów, przed światem na kolana; bez wątpienia uczczenie, którego doznał ze strony ludu i zacnych kapłanów, serce ks. Jubilata słodziej owiewało, niż jakiebądź honory świata. Niech tak będzie zawsze! *Ks. K.*

* * *

Chrościna. Naszemu czcigodnemu duszpasterzowi, księdzu Frysztackiemu, przesyłamy niniejszem najuprzejmiej, z powodu jego złotego jubileuszu na dzień jego sekundycyi, dnia 26 czerwca r. b. jak najserdeczniejsze powinszowanie, oraz podziękowanie za tyloletnią opiekę nad kościelnemi bractwami, a zwłaszcza za opiekuństwo III zakonu św. Franciszka. My zaś starcy, którzy niejako rówiennicy jesteśmy wiekiem szanownego Jubilata, składamy Jubilatowi hołd głębokiej czci i wołamy wspólnie: Niech żyje... niech żyje... w jak najdalsze lata!
Marcin Niedziela, Wawrzyn Szymainda, Franciszek Giza, KarolKula, Franciszek Wienek, Andrzej Bulik.

* * *

Chrościna. Przyjacielowi ludu polskiego, szanownemu księdzu Jubilatowi Pawłowi Frysztackiemu, z powodu Jego złotego jubileuszu przesyłają jaknajserdeczniejsze życzenia, załączając wiersz następujący:

Przed piędziesięciu w przeszłym wieku [laty
Był Ci od Boga dany dar bogaty,
O ludu polski, w tym zacnym kapłanie,
Któremu wdzięczni ślą parafianie
Powinszowanie.

On Ci przyjaciel, ludu polski, złoty,
On Cię ukochał, i jako sieroty
Wciąż opiekował się sprawy naszemi,
Wciąż z ludem polskim trzymał jak [z swojemi
Na śląskiej ziemi.

Dlatego dzisiaj, ludu polski, z nami
Wdzięcznymi Jego parafianami,
Wykrzyknij: Sława! na cześć Jubilata
Wdzięczność niech będzie w jaknajdalsze [lata
Szczodra zapłata!

A gdy nas rzuci po tym ziemskim trudzie,
Tedy, Ty śląski oraz polski ludzie,
Nie zapamiętasz przyjaciela twego
W modłach swych wspomnisz kapłana [drogiego
Nam Frysztackiego.

Chrościna, dnia 26 czerwca 1901
Wdzięczni parafianie.

* * *

Popielów. Nie wątpię, że poniższe wspomnienie ze starszych czasów Jubilatowi, W. księdzu prob. Frysztackiemu z Chrościny jakąś radość sprawi, więc proszę umieścić.

Pomimo, że już dnia 26 z. m. Jubilat ksiądz prob. Frysztacki obchodził 50 letni jubileusz swego kapłaństwa, to jednak żyje jeszcze w Popielowie między innymi pewien muzykant, który po tylu powinszowaniach dodaje i od siebie życzenie, aby Jubilat dożył dyamentowego jubileuszu. Oto za czasów pobytu swego w Popielowie uczył nas czcigodny Jubilat polskiego katechizmu i w roku 1864 nas pierwszy raz komunikował. Jak poprzednio w „Gazecie“ nadmieniono, uczył się ks. prob. Fr. za młodych lat muzyki, to nie dziw, że był i lubownikiem tejże. W czasie swego pobytu u nas powiększył ks. Fr. w starym kościele o kilka metrów chór i sam uczył lud w niedzielę po nabożeństwie melodyi śpiewu polskiego. Aby zaś ugruntować i zaprowadzić w naszym dawniejszym kościele ojczyste pieśni, sprawił w 1860 roku 5 metalowych dobrych instrumentów, na których się pilnie ówcześni młodzi nauczyciele przygrywać uczyli, co jednak dla nich zbyt łatwem nie było, bo do tej nauki nie mieli zdatnego mistrza muzyki. To też początkowo muzyka do prawdziwego rozwoju nie doszła. Dopiero w roku 1865, przyszło ks. Frysztackiemu na myśl, aby kazać wyuczyć pięciu piętnastoletnich chłopców z Szurgoszczu u słynnego mistrza muzyki Czeluski. Sam ks. Fr. do tego zdatnych chłopaków wyszukał; z tychże ja sam jeden dziś w Popielowie w tem powołaniu jako muzykant zostaję i mój pierwotny instrument (tubę) od ks. prob. Segieta nabytą sobie do dzisiaj jeszcze wysoko szanuję, gdyż jest w dobrym porządku.

Owa kapela młodych muzykantów przygrywała w niedziele i święta w kościele przez trzy lata, także uczciła czcigodnego Jubilata w roku 1866 na uroczystości jego srebrnego jubileuszu kapłaństwa. Później został Jubilat do Budkowic, a następnie do Siołkowic przeniesiony i miałem to szczęście w roku 1881, że przy moim ślubie dopełnił aktu kościelnego.

W powołaniu mojem, do którego przez Jubilata zostałem wybrany, jestem zadowolony przez wszystkie lata i nie zapomnę być wdzięcznym temu, który początek do tego dał.

Niestety czasy się zmieniają nie na lepsze, lecz na gorsze, bo przy tegorocznej procesyi Bożego Ciała miała pierwszeństwo z pobliskiej ewangelickiej wioski Lubieni luterska muzyka, którą drogo zapłacono, podczas gdy my katolicy, którzy przez wszystkie poprzednie lata od roku 1881 przygrywaliśmy, tym razem — nie wiem dlaczego — zostaliśmy pominięci, a to była woda na młyn ludu obłudnego i innowiercom przychylnego. „Miłujemy każdego, ale najwięcej domowników wiary!“ Tak nas uczył czcigodny Jubilat, i to nam, którzy sobie te słowa do serca wzięliśmy, zawsze w pamięci pozostanie.

U. Kurz, muzykant.

* * *

Czcigodnemu i szanownemu ks. Proboszczowi
Pawłowi Frysztackiemu
na 50-letni jubileusz kapłaństwa
w dowód wdzięczności od jednego z synów ludu rolniczego.

Dziś gdy święcisz jubileusz półwiekowej dla dusz pracy,
Przesyłają Ci życzenia kochający Cię Rodacy,
Boś Ty kapłan dzielny, jakich bardzo potrzeba ludowi,
Aby zawsze został wierny wierze, nie mniej narodowi.
Nie dość bowiem dla kapłana nauczać swój lud w kościele,
Ale trzeba go też uczyć, jak ma bronić swych praw śmiele,
Jak ma bronić swojej wiary, oraz Ojców swoich mowy,
Aby w zdrowem ciele ludu duch narodu był też zdrowy,
Gdy kapłaństwo to zaniedba, lud z czasem osłabnie w wierze
I w nie naszym duchu, znaku będzie odmawiał pacierze,
Jak to mamy przykład w Sląsku dolnem, które już zniemczone;
Wszakże było polskie, katolickie, teraz jest zlutrzone.

* * *

Cny kapłanie, mężu stały, Ty stoisz na ludu czele,
Może Cię za to spotkało przykrości już nieraz wiele,
Ale lud Ci wdzięcznym będzie, dopóki go w Slązku stanie,
Więc przesyła Ci dziś skromne, w prostych słowach winszowanie,
Gdy zapłacić, coś uczynił z serca dla niego, nie zdoła,
Przecz do Stwórcy Pana Wszechmocnego z głębi serca woła:
Zapłać za nas, Panie Boże, Kapłanowi, który z nami
Walczy o najświętsze rzeczy, — bo my nie możemy sami!...

Mały Dobrzyń, d. 23. 6. 1901.

Fr. Wilczek.

Krzysztof Kolumb

(włos. *Chrostoforo Colombo*, hiszp. *Christoval Colon*) odkrywca nowego świata, ur. w Genui 1446 lub 1447, umarł w Valladolid 1506. O sławę rodzinnego miejsca Kolumba spierało się 10 miast włoskich. Według starej genealogii był Kolumb synem szlachcica Domenico Colombo, zmarłego w 1457, kronikarze jednak genueńscy robią ojca jego miejscowym sukiennikiem. Około 1470 puścił się w podróż morską, by już na zawsze obrać zawód żeglarza. Pierwszą podróż odbył do Lewantu, zaciągnąwszy się do służby króla Renesza Andegaweńskiego, potem popłynął do Anglii, a w lutym 1477 roku, aż do Islandyi. Potem, niewiadomo z pewnością dla jakich przyczyn, udał się do Lizbony, gdzie zaślubił donnę Fielipa Muniz de Perestrello, córkę szlachcica włoskiego, czy też gubernatora wyspy Madery, który się również wsławił jako żeglarz i kolonizator wyspy Porto-Santo. Małżeństwo to spowodowało kilka jego podróży z Lizbony do tej wyspy, uczyniło dla niego z Portugalii drugą ojczyznę, a zarazem dało mu w ręce dyarjusze podróży i karty geograficzne teścia. Wzbogacony nabytemi z tych ostatnich wiadomościami, roznamiętnił się ku studyom geograficznym, a nabywszy jeszcze wiele wiedzy w tym względzie od krewnego żony, żeglarza Pedro-Correo, zaczął przypuszczać możliwość dostania się do Indyi, inną niż naokoło Afryki drogą, i zaczął nawet obliczać przypuszczalną długość tej drogi. Przypuszczenia jego zyskały poparcie, gdy zostały przypędzone przez prąd zachodni do Porto-Santo drzewa, które według znanych mu opisów rosnąć miały w Indyach, oraz na brzegi wyspy Flores trupy dwóch ludzi zupełnie odmiennych od znanych dotychczas. Wszystkie te wiadomości zapaliły w nim żądzę odkryć, dla której zadośćuczynienia brakło mu zasobów materyalnych. Udał się więc naprzód o pomoc do Jana II, króla portugalskiego, w czem mu się jednak nie powiodło. Straciwszy w tym czasie żonę, puścił się w drogę od dworu do dworu dla przedstawienia swych planów.

Doznawszy niepowodzenia w Genui, Wenecyi, a nawet u króla Kastylii, udał się już w 1491 z synkiem swym w drogę do Francyi, gdy schroniwszy się chwilowo do klasztoru w Palos, znalazł poparcie do Izabeli Kastylskiej ze strony jednego z mnichów, któremu się zwierzył ze swemi projektami. Po dosyć długich układach zrobiono z nim wreszcie umowę, na mocy której otrzymał trzy małe okręty z załogą ze 120 ludzi złożoną, a w razie powodzenia obietnicę godności admirała i wicekróla ziem odkryć się mających. 3 go sierpnia 1492 odpłynął nareszcie z portu Palos ku wyspom Kanaryjskim, a ztamtąd prosto na zachód. Po wielu niopowodzeniach i zatargach w podróży z załogą, w połowie września dostrzegł, że zboczenie igły magnesowej uległo zmianie, a przypisując to blizkości lądu, zachęcił załogę do wytrwałości jeszcze na czas jakiś. Pomimo jednak różnych oznak blizkości lądu wyprawa nie mogła przybyć do niego, i już miał Kolumb zamiar uledz naleganiom podwładnych i zawrócić się, gdy nagle dostrzeżono w dali brzeg lądu.

Przekonano się, że była to wyspa, którą Kolumb zajął w posiadanie Hiszpanii, nadawszy jej nazwisko San-Salvador. Puścił się potem dalej i 28-go października odkrył Kubę, a 3-go grudni Haiti (Hispaniolę) i wiele innych drobnych wysepek, nie mogąc jednak nigdzie natrafić na złoto, którego koniecznie od niego żądano. Na wyspie

Haiti, w okolicach łańcucha gór Cibao, wskutek żądania, objawionego przez wielu towarzyszów, przyciągniętych pięknością miejscowości i opowieściami mieszkańców o złocie, z resztek rozbitego jednego ze swych statków zbudował port, la Navidad, i urządził pierwszą kolonię hiszpańską, złożoną z 39 najdzielniejszych swych ludzi, sam zaś z dwiema pozostałemi karawelami puścił się 4-go stycznia 1493 r. z powrotem do Hiszpanii i 15-go marca t. r. stanął w porcie Palos, gdzie go z nadzwyczajnym zapałem przyjęto i w prawdziwie tryumfalnym pochodzie do Barcelony przeprowadzono. Po uspokojeniu się pierwszych wybuchów radości, postanowiono uorganizować drugą wyprawę.

Kolumb, otrzymawszy tym razem 3 większe okręty i 14 karawel, z 1,500 ludźmi załogi, opuścił 25 września 1493 brzegi Hiszpanii, a 3 listopada dopłynął do wyspy, którą nazwał Dominica, dalej odkrył Gwadelupę, Jamajkę i inne wyspy Antyllów. Ponieważ jednak tym razem towarzyszyły mu dwa złe duchy, fanatyzm religijny i żądza złota, przeto przychodziło mu wszędzie walczyć z tubylcami. Gdy brata swego Bartłomieja mianował wice-gubernatorem, zawistni oczernili go przed królem, udał się więc 11 czerwca 1496 do Hiszpanii, gdzie był wprawdzie tryumfalnie przyjęty, ale dopioro 30 maja 1498 puścić się mógł na trzecią wyprawę z San-Lucar de Barrameta i, obrawszy kierunek nieco więcej ku południowi zwrócony, dotarł 1 sierpnia do stałego lądu Ameryki południowej przy ujściu rzeki Orinoko, który krajowcy nazywali Paria, a następnie odkrył wyspy La Trinidad, bogatą w perły Margeritha i Cubagna. Następnie udał się do Hispanjoli. W skutek nowych wszakże oszczerstw wrogów uznany został za niezdolnego do rządów, a dla osądzenia jego sprawy wysłany został Boabdilla, który przybył 23 sierpnia 1500 do San Domingo i kazał tam natychmiast okuć w kajdany Kolumba, oraz braci jego Diega i Bartłomieja i odesłał ich do Hiszpanii. Tu potrafił się wprawdzie z zarzutów oczyścić, postępowano z nim jednak nieszczerze i dopiero w 1502 r. zdołał nareszcie wyprosić 4 liche karawele, na których ze 150 towarzyszami 9 maja puścił się na czwartą wyprawę, która z powodu niezgód osady do niczego ważnego nie doprowadziła. Na domiar nieszczęścia wszystkie statki mu się rozbiły, tak, że dostawszy się na lichych łodziach do Hispanioli, zmuszony tam był kupić z własnych funduszów statek, na którym 12 września 1504 na zawsze Amerykę opuścił, a 25 listopada przybył do San Lucar. Po powrocie do kraju, ciągłych doznając przeciwności, przeżył w nędzy półtora jeszcze roku, nie przekonawszy się nawet o tem, że odkryte przezeń ziemie należały nie do Azyi, lecz do zupełnie nieznanej części świata. Zwłoki Kolumba złożone zostały najpierw w Sewili, 1537 w San Domingo na Haiti, a po ustąpieniu tej wyspy Francyi 1796 w Hawanie na wyspie Kubie, zkąd, po zdo-



Krzysztof Kolumb.

byciu jej przez Stany Zjednoczone półn. Ameryki w 1898, przewiezione zostały w 1899 do Hiszpanii. Pomniki Kolumbowi wzniesiono w Genui, Meksyku i w Cardenas na Kubie. Naturalny syn Kolumba Fernando zostawił krótki, ale ciekawy życiorys ojca, drukowany w „Historiadores Primitivos“ w 1749. Sam Kolumb spisał dziennik pierwszej podróży, objęty w dziele Novaretego „Viages de los Espanoles“ (Madryt, 1826), a następnie z uwagami Remusata, Balbiego, Cuviera i innych w dziele p. t. „Relations des quatre voyages entrepris par Colon“ (Paryż, 1828, 3 t.). Później pisali o nim: Bossi „Vita di Colombo“ (Medjolan, 1824); Spotorno (w niem. wydaniu Wagnera, Lipsk, 1825); Washington Irving „Life and voyages of Columbus“ (Londyn, 1828, przełożone na polski dla pomieszczenia w „Wyborze przykładów“ Natansona); Humboldt „Examen critique de l'histoire de la géographe“ (Paryż, 1834—5); Peschel „Geschichte des Zeitalters der Entdeckungen“ (Stuttgart i Augsburg, 1858); Harisse „C. Colomb“ (2 t., 1884) i „C. C. devant l'histoire“ (1892); Günther „Colombus und die Erweiterung des kosmischen Horizonts“ (1892); Rein „C. und seine vier Reisen“ (1892); Krzemiński „Krzysztof Kolumb, przypomnienie życia i zasług“ (1893). W 1892 obchodzono 400 rocznicę odkrycia Ameryki, co wywołało też liczną literaturę okolicznościową. Starszy syn Kolumba Don Diego, ur. 1480, um. 1526, otrzymał w posiadanie ziemię Veragua na Jamajce z tytułem księcia Veragua i margrabiego Jamajki, przy godności granda. Drugi syn naturalny, Don Fernando, z Beatrix Enriquez z Korduby spłodzony, ur. 1488, † 1539, napisał życiorys ojca i zebrał bogatą bibliotekę z 12,000 t. złożoną, która po jego śmierci, pod nazwą „Bibliotheca Columbina“, stała się własnością katedry w Sewilli. Męska linia potomków Kolumba wygasła w 1578 na drugim dziedzicu księstwa Veragua, które za syna Don Diega zastąpione zostało przez miasto Vega na Jamajce z obszernym obwodem.

E. P.

Źle mi, źle, Panie!

Źle mi, źle Panie!... Łodź moja od brzegu
Zanadto chyżym rzuciła się lotem...
Panie! jam znużon tym wrażeń zawrotem,
Panie! ja padam od ciągłego biegu!...
A duch się targa, bo mu lecieć trzeba
Do Twojej ciszy, do Twojego nieba...

Świata odmętu pochwycony falą,
Ja padam, Panie, pod życia brzemieniem,
Chociaż nie jestem z takich, co się żalą
Zbyt częstym jękiem... Poważnem spojrzeniem
Przebiegam życie moje nadaremno,
Bo tam już echo, a przedemną ciemno...

Anim ja pióra w świata zgubił błocie,
Anim ja Ciebie zapomniał w podróży...
Z rozdartem sercem, w gorącej tęsknocie,
Pod piorunami bywałem wśród burzy,
Gdzie bytu Twego potęga się pali
Błyskawicami na jasnej wód fali...

Chodziłem ja ci, pochmurny wygnaniec,
Po ziemi ciałem, a duchem — przy Tobie,
Bo, chociaż w serca rannego żałobie,
Za bytu mego wyzierałem kraniec
I, gdzie ta droga wiodła mię bez końca,
W krainie ducha latałem do słońca...

Białym mi cieniem wionąłeś na drogę
Za życia mego różanej jutrzenki...
A dziś już nie wiem, ani wiedzieć mogę,
Czy to piosenka, czy echo piosenki,
Czy jaka mara przeszła drogą mleczną
I roztopiła się w światłość słoneczną...

Że przeszła — wiem to... Bo czułem ją w wiewie



Santa Maria, okręt Kolumba podczas jego pierwszej podróży do nowego świata.

Wiatru, co trawy na grobach potrąca,
Bo ją słyszałem w skowronkowym śpiewie,
Bo jaśniej chwilę paliły się słońca,
Bo więcej było tu pieśni ptaszęcej,
Bo więcej było snów i kwiecia więcej.

Bo ją uczułem po ptaszęcym gwarze
I z prostej drogi biegłem przez manowce...
I przeszła... Wkoło ponure grobowce,
I pustka straszna, i głuche cmentarze,
I wicher nad nimi, co chodzi na groby
Duchom żałosnym nucić hymn żałoby...

Dosyć, już dosyć!... Do Ciebie, do Ciebie!..
Mojego ducha, daleko od ziemi,
Rozpryśnionego po szerokiem niebie!
Rozwiej Ty tęczą nad światy Twoimi...
Niech cichem wiewem po białej przestrzeni
Idzie w kraj światła i duchów i cieni!...

—mar.

Z życia towarzyskiego.

Księżna Zofia Hohenberg z domu hr. Chotek, małżonka następcy tronu austryackiego, arcyksięcia Ferdynanda, powiła dnia 24-go z. m. córkę na zamku



Arcyksiążę Franciszek Ferdynand.

Konopist w Czechach. Dziecko otrzymało na chrzcie imiona: Zofia, Marya Teresa Franciszka. — Arcyksiążę Franciszek Ferdynand biorąc za żonę hrabiankę Chotkównę zrzekł się dla swego potomstwa praw do tronu.

Piękną hrabiankę poznał arcyksiążę Ferdynand jako damę dworską na dworze arcyksiężnej Stefanii, dzisiejszej hrabiny Lonyay. Było to w Abazyi. W salonach arcyksiężnej było bardzo gwarno, ale hrabina Chotek odłączyła się od towarzystwa i zwyczajem swoim siedziała na werendzie, wsłuchując się w szum rozhukanego morza. „Gdzież to moja cicha hrabina?“ zauważyła arcyksiężna. Starano się ją odszukać, a właśnie arcyksiążę Fedynand pierwszy ją odnalazł i wprowadził do salonu. Z każdym dniem zacieśniały się stosunki dwojga młodych ludzi. Cesarz dowiedziawszy się o tem, a chcąc zerwać stosunek, przeniósł arcyksięcia w „interesie służby“ do Budziejowic, ale właśnie dogodził tem parze zakochanej, bo o kilka mil od Budziejowic zamieszkała hr. Chotek u swych krewnych Schwarzenbergów. Wtedy to cesarz wysłał arcyksięcia w podróż naokoło świata. Ale i to rozłączenie nie wpłynęło wcale na zakochanych. Po powrocie z podróży wnet się



Księżna Zofia Hohenberg.

odnowił stosunek, protegowany teraz najmocniej przez arcyksiężnę Stefanię. Stosunek stawał się coraz serdeczniejszy aż wreszcie stuła kapłana połączyła parę zakochanych węzłem małżeńskim.

* * *

Książę Ludwik Napoleon Bonaparte wyjechał w ostatnim czasie z Paryża do Cannes, gdzie bawiła także córka wielkiego księcia rosyjskiego Włodzimierza,



Książę Ludwik Napoleon Bonaparte.

wielka księżna Helena. Książę Ludwik jest generał-majorem w wojsku rosyjskiem i jest chętnie widzianym na dworze petersburskim. Bonapartyści mają nadzieję, że książę Ludwik zaręczy się z księżniczką Heleną, która mu podobno bar-



Wielka księżna Helena.

dzo sprzyja. Książę Ludwik Napoleon Bonaparte urodził się dnia 16-go lipca 1864 r., księżniczka Helena dnia 29-go stycznia 1882 r.

—ski.

Na wschód patrząc mym zwyczajem.

Prawda, że piękne cudze kraje,
Lecz sercu czegoś nie dostaje,
Kościoły wielkie, zamki, wieże,
Ale za serce nic nie bierze...

We własnym kraju, tu, w Ojczyźnie,
Wszystko ci bratnie, wszystko ci bliźnie,
Głos ma dla ciebie zrozumiały,
Ta ziemia szara, ten kraj cały.

Te lasy twoją szumią mową,
I dąb odwieczny nad dąbrową,
Te czaple, czajki i łabędzie,
Coś swego widzisz, słyszysz wszędzie—
A cóż gdy jeszcze w progach domku,
We swoim domku, szczęsny Tomku,
Twoja cię własna matka spotka.

A w cudzym kraju i cóż będzie?
Ziemia na ziemi jak i wszędzie,
Ale ta ziemia — jakaś sucha,
Ale ta ziemia — jakaś głucha.

Zdarzy się w cichej gór kotlinie,
Że jak i u nas potok płynie,
Szumi, po skałach się rozbija,
Woda cię mija — człowiek mija.
Nie twoja chata, gaj zielony,
Nikt ci nie powie: „Pochwalony“ —
— „Na wieki wieków“ — Pod odwieczerz
Drogą tą białą stopy wleczesz;
Głazy i głazy i znów głazy,
Choć się obejrzysz i sto razy,
Nikt się za tobą nie obróci.
Z suchym się ostem wietrzyk kłóci,
I kłos by żalem wskróść brzemienny
Przy ziemi chwieje się nieplennej,
Do tego kłosa równasz siebie,
Co na jałowej rośnie glebie.

Patrzysz, z daleka wierzb warkoczy,
Woda obrywa liście drobne,
Woda na morze listki toczy,
Czyż to do ciebie nie podobne?
Ty sam przed swojem zawdy okiem,
Ty jesteś wierzbą, kraj potokiem,
Za którym twoje myśli cieką,
I płyną, płyną, tam daleko,
I wciąż się świecą, a tęsknota,
Jak ta pod wieczór barwa złota,
Na wszystko błyska, coś porzucił,
Żebyś oglądał się i smucił.

Przecież za słówko: „Szczęść ci Boże“,
Za dobre słówko dla pielgrzyma,
Choć w oczy chłodny wiatr zadyma,
Choć was nie ujrzę nigdy może,
Toć szczęść wam Boże za otuchę.
Oto mi zda się, żem u zdroja,
Że szczęsne było życie całe,
I że mi wody siostra moja
Przechyla swoje wiadro białe,
Że mnie matka miła,
Na pierś przygładziła.

Teofil Lenartowicz.

Synai.

Słynna góra Synai, na której Mojżesz żydom ogłosił dziesięć przykazań Bożych, położona jest między zatoką morską Suezu i Akabah. Cesarz Justynian założył około 527 r. u podnóża wschodniego góry w dolinie Schuaib, słynny klasztor Synai (klasztor św. Katarzyny) z kościołem pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego, w którym złożone były relikwie św. Katarzyny. W zamierzchłych czasach znajdowały się także u podnóża góry inne klasztory (n. p. klasztór 40 męczenników), kaplice i pustelnie. Dziś sterczą na miejscach tych tylko ruiny.



Góra Synai.

Na około łańcucha skalistego i majestatycznego pasma gór rozciąga się odludna, szeroka, pusta płaszczyzna, przez którą krzyżuje się tylko mnóstwo ścieżek wielbłądzich. Spłoszona przez kalwakadę Arabów gazela przeleci czasem około wielbłądów, zresztą na pustyni panuje przeważnie cisza i spokój grobowy. *—ski.*

Matka.

Zachodzące słońce purpurowem światłem oblało strzechy wioski i spuszczając się coraz niżej i niżej nad ziemię, skryło się gdzieś, hen... za gąszczem starych olch, co rosną nad strugą. Ustał ryk bydła wracającego z pola i zwolna cisza poczęła zalegać wioskę

Zdala tylko słychać jeszcze jakieś nawoływania; czasem doleci klekot bociani, pies gdzieś zaszczeka; czasem wiatr przyniesie szmery podsłuchanej rozmowy, to znów wesoły śmiech dziewuchy przerwie wieczorną ciszę.

Jeszcze chwila i te ostatnie zamilkną odgłosy. Na niebo wypłynął księżyc cichy, blady i jął zwolna tonąć wśród szafirowej przestrzeni, rozsypując swe blaski na pola, łąki i gaje, na sady i chaty śpiących po dziennym trudzie wieśniaków.

Blask jego padł na siedzącą na przyzbie domu niemłodą kobietę, co jedna nie śpi wśród tej nocnej ciszy. Dobroczynny sen, ten koiciel trosk ludzkich i cierpień, nie skleja jej powiek. Rękoma oplotła kolana, oczy utkwiła w ziemię, a z piersi jej wydobywają się głębokie westchnienia. Nie wesołe snać są jej myśli. Przy niej leży różaniec. Nie modli się jednak, choć usta jej czasem szepczą jakieś słowa prośby czy skargi.

O, ona się już i modlić nie może! Tak gorąco, tak szczerze się dotychczas modliła, a nic nie pomogło....

Bóg snać odwrócił od niej grzesznej swoje oblicze, zapomniał o biednej matce...

A może nie zapomniał? może ją wysłucha, może wróci jej syna, do którego tak bardzo tęskni jej zbolałe serce?... Jakiś jęk żałosny wyrwał się z piersi siedzącej kobiety. Gwałtownym ruchem podniosła się z miejsca, oczyma powiodła w koło, jak gdyby czegoś szukała. Jaka jasna noc! i tak pogodnie, tak cicho wokoło, a w duszy jej szaleje burza zwątpień i rozpaczy. O, gdyby mogła wyrwać z piersi tę żałość, gdyby mogła nie myśleć... nie cierpieć... choć chwilę.. choć jedną chwilę! Ale jak tu nie myśleć, kiedy Piotrek ciągle staje jej przed oczyma. Jednego go tylko ma na świecie, jedyne dziecko, jedną pociechę. Dobytku swego nie mieli. Do dworu chodziła na zarobki, dziecko prowadząc ze sobą. Sama uczyła go czytać na książce, sama nauczyła go, jak trzeba być uczciwym, jak pracować. Nie rozstawali się prawie. Chłopak bardzo był do niej przywiązany. Pracowali razem, gdy był starszy; razem siadali po pracy wieczorami i ona opowiadała mu o różnych dziwach, co się na świecie dzieją, o których przy dworze pracując zasłyszała.

Tak płynął rok za rokiem i dobrze im było razem, tylko, że bieda coraz więcej dokuczała. Pan dwór rozparcelował, zarobki stawały się coraz cięższe. A tu żyć trzeba. Sąsiednich wiosek wieśniacy wyruszali za morze szukać lepszej doli.

— Pojadę z nimi matulu — powiedział jej Piotrek.

I pojechał.

Pamiętą tę noc ostatnią przed jego odjazdem w dalekie kraje. Tak samo księżyc świecił na niebie; ludzie już spali i tylko derkacz odzywał się nad strugą, tylko rechotanie żab przerywało ciszę. Żegnała syna...

On ręce jej całował, tulił się do niej, pocieszał...

— Rok przejdzie, matulu, jak jedna chwila, wrócę potem, grosiwa wam przywiozę, żebyście na stare lata kątów nie wycierali. Nie płaczcie, matulu, ino mi zdrowi bądźcie, jak wrócę; bieda już nam nie dokuczy.

I pojechał ten syn jej ukochany, pojechało dziecko jej jedyne, tam... gdzieś za morza do obcych ludzi, do obcych krajów, na dolę, czy niedolę — pojechał, została sama.

Nie idzie jej odtąd robota, nie miły jej świat... ludzie... tęknota serce jej szarpie... sen odbiera. Czekała rok, nie wraca — czeka drugi — Pietrka nie widać i oto trzeci rok już upływa, a jego nie ma i niema. Oczy wypłakała z żałości — wychudła, wynędzniała, zżółkła, że litość bierze na nią patrzeć. A jego niema. Gdyby nie poczciwi ludzie, co biedną przygarnęli, zmarniał by już napewno. A jego niema. Może gdzie zginął?... Może nie wróci już nigdy dziecko jej kochane, napróżno wygląda je, napróżno czeka!?...

Jak ugodzone strzałą zwierzę — biedna matka rzuciła się na ziemię i jęła jęczeć boleśnie.

Nikt jednak jęków jej nie słyszał, nikt łez jej gorzkich nie widział, ani rozpaczy. Po niebie płynął księżyc jasny, blady. Poruszane wiatrem cicho szeptały liście starej lipy. Na skraju lasu pełzały tajemnicze cienie, wznosiły się nad łąką białe opary nocne, ptak gdzieś kwilił żałośnie.

Po drugiej stronie nieba piętrzyły się różane obłoczki, niebo zapalać się już poczynało. Wstawał świt, z wzrostem nowych nadziei i nowych bólów, i nowych cierpień.

Jeszcze chwila, słonko wyjrzy z za pól, różowem światłem oblanych, i wstaną wieśniacy do swej ciężkiej pracy; wesołe gwary pracowitej rzeszy znów rozproszą nocną ciszę i wszystko zbudzi się na nowo. Nie wstanie tylko i nie wyjdzie przed wrota chaty wyglądać syna nieszczęśliwa matka, bo serce pękło jej z bólu.

S. Okołowiczówna.

MIŁOŚĆ BEZ GRANIC.

POWIEŚĆ ORYGINALNA,

osnuta na tle powstania narodowego z roku 1863-go,

napisana przez

Alberta Gorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wyjątek z reguły wewnętrznego usposobienia stanowił hrabia Jerzy; jemu w całości usposobienia brakowało widocznie jednej z składowych jego części. Gdyby miał być takim na zewnątrz, jakim był na wewnątrz, byłby iście bez głowy, albo przynajmniej bez nogi lub ręki. Znała pani hrabina, żona hrabiego Jerzego, kalectwo wewnętrzne swojego męża, obchodziła się z nim zatem jak się zwykle obchodzi z kaleką. Hrabia Jerzy byłby prochu nie wynalazł pewnie, ale w głowie żadnej mu nie brakowało klepki, brakowało mu tylko jednego przymiotu, bez którego ludziom, a osobliwie żonatym mężom staje się nader przykrą egzystencya na świecie, brakowało mu tęgości, wogóle hartu. Hrabia Jerzy był niski, pękaty, miał rumiane policzki i łysinę dużą jak placek na głowie. W towarzystwie ludzi był człowiekiem przyzwoitym wcale, a nawet, proszę mi wierzyć, że mówię sumienną prawdę, umiał oponować czasem. Niestety wobec swojej żony był cichą trusią, ofiarnym barankiem, dla jej nóżek był najniższym podnóżkiem i najwygodniejszym pantoflem, jedno jej spojrzenie powstrzymywało go w największym impecie, na jaki się rzadko zdobywał, jedno jej spojrzenie popychało go do heroicznych czynów i na rozkaz tego spojrzenia mógł się przemieniać w piejącego koguta. Serce miał dobre, kochał żonę bardzo, a jeszcze bardziej się jej obawiał.

Hrabia Jerzy był wdowcem, kiedy mu myśl przyszła pobrania się z teraźniejszą magnifiką. Po pierwszej żonie została mu się córka. Hoża dzieweczka, na imię jej było Eugenia, była istnym kontrastem ojca, żywa jak wiewiórka, skoczna jak sarenka, wesoła jak kotka, miała ładne serduszko, główkę pełną marzeń cudnych, przytem wszystkiem miała silną wolę. Rumieniła się, kiedy padło na nią krzywe spojrzenie, mimo lat młodych nie była dziecinną, umiała być poważną i trzymała ludzi od siebie zdaleka.

Taką była hrabianka Eugenia, kiedy jej ojciec zrobił surpryzę i obdarzył ją drugą matką, macochą. Panience się zasępiło czoło i przeczuwała przyszłą swoją dolę. Nie rzekła słowa, poszła do swego pokoiku, pomodliła się do nieboszczki matki, spłakała się w cichości, przetarła potem oczy i zimną wodą wymyła, i poszła potem znowu między ludzi uśmiechnięta jak zwykle.

Macocha w początkach swego z mężem pożycia nie troszczyła się o pasierbicę wcale. Po kilku miodowych miesiącach władza domowa przeszła z rąk męża w jej ręce, początkowo prowadziła liberalne rządy i uważała męża za swego przybocznego ministra, który pod pewnemi warunkami ma wolność samoistnego działania. Powoli, powoli przemieniły się liberalne te rządy w najdespotyczniejsze pod słońcem, mąż stracił ministerstwo i stał się zupełnym poddanym, od tej chwili i niewchodząca w drogę nikomu hrabianka Eugenia wziętą została pod ogólny rygor, i dla niej nastały przepisy i prawa, nakazujące i zakazujące. Nie było tam wyjaśnione, co jak i dlaczego, tak się podobało pani hrabinie, taka była jej wola.

Eugenia było to szczególne dziewczę. Z dzieciństwa nieprzyzwyczajona do więzów, nabrała hartu ducha i męzkiej prawie siły, w ostatnich latach szanował ojciec jej wolę i ulegał jej zupełnie, nawet w pierwszych miesiącach jego pożycia z macochą zachowała pewną nad nim przewagę, dopiero presja terorystyczna samowolnej macochy, ubezwładniła łagodny wpływ córki na ojca.

Eugenia zrozumiała swoje położenie, unikała wszelkiego zetknięcia z macochą, schodziła jej z drogi, zamykała się na całe dnie w panieńskim swoim pokoiku, unikała nawet ojca, aby nie drażnić macochy.

Początkowo to wystarczało. Bywały przeciągłe, badające spojrzenia, czasem padło niechętne słówko, ale się kończyło i na tem. Później przychodziło do częstszej niepogody, Eugenia znosiła z rezygnacyą chmurne spojrzenia i wybuchy gniewu. Później przychodziło do burz częstych. Eugenia stała się ofiarą tyranii. Macocha gnębiła ją z pewnym systemem, czasem gwałtownie, czasem cichą intrygą, pobudzała na nią nieraz nawet i ojca, ten się wzbraniał, lecz zwykle w końcu ulegał, robił córce niewinnej wyrzuty, oskarżał ją o brak serca, o nienawiść macochy i krnąbrność przeciw niemu samemu. Podczas takiej sceny ojcowskiego gniewu, Eugenia była cicha i patrzyła łzawemi oczyma na ojca; skoro się wygadał, całowała go z dziecięcą pokorą w rękę i pytała czem zasłużyła na jego gniew i wyrzuty. Ojciec patrzał na nią, rozmyślał chwilę, potem ją tulił do serca i mięszały się łzy jego z jej łzami. Zaszła ich raz niespodzianie macocha w podobnym uścisku, od tej chwili nie było scen gwałtownych między nimi, mimo to stawał się ojciec coraz zimniejszy dla córki. Ta szukała nieraz miłości w jego spojrzeniu, ale jej znaleść nie mogła, chciała mu się nieraz rzucić na piersi i wyspowiadać na niej wszystkie bole, jakie jej jego zimna obojętność sprawia, ale w takich razach stawała zwykle między nią i ojcem niespodziewanie macocha, i nie pozwalała im zbliżyć się do siebie.

Hrabia Artur zajechał z matką przed pałac hrabiego Jerzego; po odbytych zwykłych formalnościach wizytowych, rozdzielono się na grupy w salonie. Hrabia Artur zabawiał Eugenię, rozmawiali o wiośnie, o kwiatach, o literaturze: hrabia Jerzy siedział bezczynny w fotelu, kiwał nogą i patrzał w arabeski malowane sufitu, dwie starsze panie, głowy dwóch domów, rozmawiały między sobą półgłosem, w grzeczności jedna przechodziła drugą, jednej i drugiej leżało coś ciężkiego na sercu, po wielu ogródkach, przedmowach i zboczeniach trafiły na przedmiot, o który właśnie chodziło. Matce Artura chodziło o złączenie Artura z Eugenią. Eugenia miała własny, niezawisły, dość znaczny majątek, któryby po ślubie jej mężowi pod zarząd oddany być musiał. Macosze Eugenii chodziło o pozbycie się z domu pasierbicy, której instynktowo nie cierpiała, a która często z siłą niewieścią opierała się jej woli i krzyżowała jej plany w różnych domowych intrygach. Obiedwie panie przeczuły siebie, jedna zrozumiała drugą i pojęły siebie, obiedwie zręczne szermierki kierowały krzywemi drogami do celu, każda chroniąc swoją słabość przed okiem drugiej.

Pod takiemi warunkami trudno im się nie pogodzić było. Po krótkiej walce na słowa poskładały broń przed sobą i stanął między niemi rozejm, warunki tegoż stanowiło obopólne przyrzeczenie, z jednej strony przywiedzenie Artura do starania się o rękę Eugenii, z drugiej strony przyrzeczenie nakłonienia Eugenii do jej przyjęcia.

Od ugody, jaką obiedwie panie, nieokreśloną bliżej, między sobą zawarły, stawały się coraz częstsze wizyty Artura i hrabstwa Jerzych, i hrabia Artur począł występować wyraźnie w charakterze konkurenta o rękę i majątek Eugenii.

Eugenia przeczuła w sercu wewnętrzną wartość swego konkurenta i nieczyste motywa, prowadzące go do starania się o jej rękę. On był w obejściu z nią nadskakujący, grzeczny, mówił jej o gwiazdach, o niebieskim błękicie, o jasnych jej oczach, o woniejących kwiatach i o czystym rumieńcu jej lica; ona słuchała jego mowy wstrząsając ramionami, i nie dawała mu odpowiedzi na jego pytania, gdy można było odwracała głowę od niego i obchodziła się z nim z lekceważeniem. Hrabia Artur rumienił się, marszczył brwi gniewnie i poprawiał końce wązkiej krawatki, związanej modnie na szyi, ale o odstąpieniu panny nie myślał, jej zimna obojętność i wzgardliwe z nim obejście się, pchało go do forsownych szturmów na dziewicze jej serduszko, lecz to było jak lód zimne, i żadna iskra zapalić go nie mogła.

Następna scena miała miejsce między Eugenią a jej macochą.

— Ty pójdziesz za hrabiego Artura — mówiła stanowczo macocha.

— Nie pójdę — również stanowczo powiedziało dziewczę.

— Pójdziesz! ojciec cię przymusi do tego.

— Raczej w klasztorze się zamknę na wieki, niżbym miała pójść za człowieka, którego nie cenię.

— Zobaczymy, czy się nie stanie podług mojej woli — powiedziała macocha i wyszła rozdrażniona uporem dziewczęcia.

Wkrótce po odejściu macochy wszedł do córki ojciec. Żyły jego czoła były krwią nabrzękłe, oczy jego strzelały gniewem, nigdy go córka nie widziała dotąd wzburzonego podobnie.

— Jak ty śmiesz, wyrodna córko, opierać się woli twojej matki?! — krzyknął na wstępie.

— Opieram się woli macochy, bo tu chodzi o los całego mojego życia, ojcze — powiedziało dziewczę łagodnie.

— Opierasz się dlatego, aby matkę, którą nienawidzisz, drażnić uporem, aby mnie, ojcu, do którego nie masz serca, przysparzać troski i zmartwienia. Dotąd miałem cię za dobre dziecko, co niezapomni winnego rodzicom posłuszeństwa, zawiodłem się, widzę na tobie, nie masz serca, nie masz miłości, nie masz przywiązania do ojca i nie miałabyś go i do własnej matki, gdyby ta żyła na świecie.

— Boże, mój Boże! i ty do mnie mówisz tak, ojcze, pierwszy raz mówisz do twojej córki w ten sposób! O matko, moja matko, spojrzyj na mnie z góry i odwróć odemnie ten ciężki kielich goryczy.

— Gdyby matka zstąpić mogła do ciebie, zstąpiłaby pewnie i radziłaby ci upamiętanie, zobaczysz ty mnie wnet na katafalku, zobaczysz, bo mi już cięży to życie pełne kłopotów i strapień, a ty miasto je umniejszać, z każdym dniem więcej ich przysparzasz.

— Co mam uczynić, ojcze, dla Boga! mów, już się nie będę twojej woli sprzeciwiać, tylko mi nie groź gniewem nieboszczki matki i nie kładź się za nią do grobu.

— Nie sprzeciwiaj się woli macochy, przyjmij oświadczenie się hrabiego Artura o twoją rękę, macocha cię kocha i nieżyczyłaby sobie twojego nieszczęścia, stanie się podług jej woli, a mnie spadnie ciężar z głowy i z serca.

Eugenia chwiała się chwilę, niepewnością szarpana, strumień łez puścił się z jej oczów, upadła ojcu do nóg i uwisła u nich:

— Dobrze, dobrze, najdroższy mój ojcze, uczynię, jak każesz! — wołała głosem, w którym drżała rozpacz serdeczna.

Ojciec od nóg ją podniósł i tulił do serca, stało się, jak tego żądała macocha.

Wszystko było gotowe do ślubu. Hrabia Artur w czarnym fraku stał w framudze pod oknem i patrzał w dal, ale nic tam nie mógł wypatrzeć; wzrok miał krótki, więc nie widział czarnych borów, ciągnących się szerokim pasem po koniec horyzontu, nie widział łąk zielonych, i złotych, kołyszących się pod powiewem wiatru łanów; cudowny obraz letni, mogący zachwycić najzimniejszego człowieka, zlewał się przed jego okiem w ciemną, niewidzianą całość. Hrabia Artur myślał o sobie; teraźniejszość była dla niego niezrozumiałym, zakrytym mrokiem obrazem, nie czuł jej sercem, wżyć się w nią nie umiał; jeszcze ciemniejszą była dlań przyszłość, chciał się w niej czegoś dopatrzeć i myślą przebiegał długie lata, ale te się wlekły leniwo, gnuśnie i niezrozumiale.

Hrabianka Eugenia była w bieli, druhny obstąpiły ją kołem i rumieniąc się, szeptały jej tajemnicze słowa do ucha.

— Ty dzisiaj szczęśliwa — mówiła jedna młodziutka z westchnieniem.

— Jak ja ci zazdroszczę droga — mówiła starsza.

— Chciałabym wiedzieć, co ty sobie myślisz w tej chwili — mówiła najmłodsza — chciałabym czytać w twojem serduszku, jak też to ono czuje. To, co myślisz, musi być dziwnie piękne, to co czujesz, musi być dziwnie miłe.

Hrabianka Eugenia nie odpowiedziała druhnom, głowę opuściła ku piersiom i stłumiła wyrywające się gwałtownie westchnienie. Jej blada twarzyczka była jakby z marmuru, żadna w niej żyłka nie drgnęła, żaden jej rys nie zdradził jej stanu duszy: co myślała, co czuła, było tajemnicą, którąby jednej matce, gdyby ta matka obudziła się w grobie, szepnęła do ucha.

Zawołano młodą parę do podpisania intercyzy ślubnej, intercyzę podpisaną przyłożono ślubnym kontraktem, który hrabiemu Arturowi zabezpieczał wiano. Było wszystko skończone.

Zajechały karety, pojechano do kościoła; on przysiągł jej wiarę, a ona jemu, ksiądz proboszcz zamieniał na ich palcach ślubne obrączki, organista zagrał marsza na organach i cały szumny korowód wycofał się z kościoła. Młodą żonę wsadzono w powóz do męża i pojechała z nim razem.

Państwa młodych przyjmowała matka hrabiego Artura w przeznaczonej na to przyjęcie komnacie. Rozmawiano zcicha, życzono sobie wzajemnej dobrej nocy i opuszczono parę, zostawiając ją sam na sam.

W komnacie po prawej stronie było wspaniałe łoże, osłonione jedwabną kotarą; wyglądało tajemniczo, za tą kotarą musiałby realista przeczuwać miękki puch i białe obsłonki. Młoda żona odwróciła głowę w przeciwnym od łoża kierunku, bała się spojrzeć na nie, chwilkę więcej pobladła i drżała jak listek osiki, przyłożyła do ust kolońską wodą napuszczoną chusteczkę, ścisnęła drobne ustka i była znowu spokojna i zimna — przynajmniej na pozór.

Hrabia Artur usiadł w fotelu osłonięty firanką okna, hrabina Arturowa siadła w krześle po drugiej stronie pokoju, żadne nie spoglądnęło w stronę drugiego. Byli oboje jak dwa przeciwne, odpychające się bieguny magnesu, on biegun północny, ona południowy.

Jarzyły się woskowe świece w srebrnych, dwuramiennych lichtarzach, zegary tykały w regularnym biegu, na dworze letni wiatr szemrał z liściami zielonemi drzew, czasem zapiał kogut we wsi oddalonej, lub zaszczekał pies, zwierzę a stróż człowieka. W komnacie było cicho, hrabia myślał w nocy po ślubie podobnie, jak myślał ranem przed ślubem, chciał sobie jaką przyszłość wymyślić, choćby wymarzyć wreszcie, ale mu się to udać nie mogło. Na jego przyszłości mrok leżał, z pod którego nic nie można było wypatrzeć. Hrabina rozmyślała nad ciężką dolą sierót, modliła się do Boga o cierpliwość przy znoszeniu cierpień, powoli, powoli zeszła myślą do teraźniejszego swego położenia i pytała sama siebie: co będzie?

Na wschodzie począł już blady ranek świtać, z świec zostały już tylko małe, dopalające się kawałki, w komnacie jeszcze było cicho, hrabia siedział nieruchomy na swojem miejscu, hrabina na swojem.

Wstał hrabia, kaszlał, przechodził się szerokiemi krokami i szedł ku żonie; ta wstała zastraszona z krzesła i chciała uciekać przed mężem.

— Proszę, niech pani nie wstaje — powiedział grzecznie.

Hrabina usiadła.

— No i jakże będzie? — zapytał pół z humorem, pół z ironią.

— Pan życzyłeś sobie tego związku, więc pan musiałeś już sobie umyślić jak będzie — powiedziała podobnie hrabina.

— Przyznam się, żem wcale nad ten nie myślał.

— To rzecz szczególna.

— Wcale nie szczególna, do związku z panią zmusiły mnie stosunki.

— Do związku z panem zmusiła mnie macocha.

— Tak? czemuż pani uległa przymusowi? było się oprzeć.

— Macocha używała takich przymusowych środków, że oprzeć się niepodobna było. Wpływała na mnie przez ojca.

— Wyznam pani, że dobrana z nas para, oboje nie mamy sobie nic do zarzucenia.

— Bardzo przepraszam; ja ostatecznie zmuszoną byłam do związku z panem, do zawarcia jego zaklął mnie ojciec w imię nieboszczki matki. Są to powody szlachetne. Pan zaś zawierałeś związek wiedziony nieszlachetną żądzą zysku, przez ślub doszedłeś pan do wiana, pan zaprzedałeś siebie po prostu, potomek hetmanów stał się spekulantem.

Hrabia poczerwieniał na twarzy.

— Nie pani, na spekulanta nie zeszedłem jeszcze, i ja byłem ostatecznie zmuszony do związku z panią, zmusiły mnie do niego przedstawienia matki. Postawiła mi dwie alternatywy: z jednej strony zupełną ruinę i na katafalku ona i ojciec, a z drugiej strony pani ołtarz. Wybrałem jak mi dyktował rozum, jak mi dyktowało sumienie.

— Wybrałeś pan z moją krzywdą.

— Już przepadło, węzeł wiążący nas jest wieczny, jedna go śmierć rozwiąże.

— Daj mi Boże śmierć rychłą, mnie i pana uwolni od wielkiego brzemienia.

(Ciąg dalszy nastąpi.

Zagadkowe drzwi

Oryginalne tłomaczenie z angielskiego dla „Pracy“ przez **P. Otrys.**

(Przedruk wzbroniony.)

(Ciąg dalszy).

. Proszę jeszcze o jeden punkt — zawołał najstarszy z sędziów przysięgłych. — Czy pani wiesz napewno, że nie ruszyłaś kluczy w drzwiach obydwóch lokatorów?

Przewodniczący uśmiechnął się lekko, pytanie to wydawało mu się trochę niestosownem.

— Wiem napewno, nie dotknęłam ich wcale! Nigdy jeszcze nie zamykałam drzwi, odkąd ci panowie w naszym domu mieszkają.

— Dziękuję.

Gdy Alicya wracała na miejsce szepnął jej Briges, że wolno jej przejść do przyległego pokoju, jeżeli sobie tego życzy.

— Nie, wolę pozostać tutaj, — rzekła.

W tejże chwili wywołał przewodniczący nazwisko doktora Ewansa, jako nowego świadka.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Maurycy Ewans nie był ani dobrym, ani złym świadkiem. Przyrzeczenie doktora Percivala dodawało mu odwagi — tem więcej zatem przeraził go chłodny ton prezydenta i zachmurzone twarze sędziów przysięgłych.

Co urzędnicy policyi o nim myśleli, o tem wiedział Maurycy aż nadto dokładnie — był przekonanym, że widzą w nim mordercę i złodzieja. Dlaczegóż by go bowiem śledził nieustannie jeden z policyantów? Nawet tu, na sali sądowej, ujrzał go ukrywającego się w framudze okna!

Co miał teraz zeznawać, co mówić, tego sam jeszcze nie wiedział, wszakże nie znał jeszcze pytań, jakie mu prokurator stawi. Jedyną jego pociechą w nieszczęściu były serdeczne spojrzenia Alicyi — one dawały mu chociaż cień jakiejś nadziei!

— Imię i nazwisko pana? — zaczął przewodniczący.

— Maurycy Ewans!

— Doktor medycyny?

— Tak, jestem lekarzem.

— A więc doktorze Ewansie, opowiedz nam, czem się zajmowałeś od wieczora dnia 9 października aż do rana dnia 10?

— Bardzo chętnie, — zawołał Maurycy żywo. — Wieczorem około wpół do dziewiątej poszedłem do pani Davorn — byłem w jej pokoju i rozmawiałem z nią — to jest pokłóciłem się z nią gwałtownie! Pół godziny później opuściłem jej dom, panna Rodney otworzyła mi drzwi domu. Nie poszedłem zaraz do mego mieszkania, byłem mocno rozdrażniony i wiedziałem, że nie będę mógł spać. W ostatnich czasach miałem tyle kłopotów i przykrości, że scena z panią Davorn przepełniła miarę. Biegałem kilka godzin po ulicach — po jakich — nie wiem! Przypominam sobie tylko, że około godziny pierwszej znalazłem się znowu na ulicy Feldpart. Po drugiej wróciłem do domu i położyłem się natychmiast a nazajutrz o ósmej poszedłem do mieszkania pani Davorn i po drodze dowiedziałem się ku memu największemu zdumieniu, że pani Davorn nie żyje. Otóż wszystko co powiedzieć mogę.

Po słowach tych długie zapanowało milczenie. Nareszcie prezydent przetarł oczy i zapytał niedbale.

— Czyś pan ze żartów może zamknął drzwi obydwóch lokatorów?

— Nie, ani mi się nie śniło — zawołał Maurycy oburzony.

— Słyszałem — wtrącił prokurator — że pan jesteś narzeczonym panny Rodney?

— Tak!

— A pani Davorn nie chciała na to zezwolić i ztąd pokłóciłeś się pan z nią?

— Tak!

— Stosunki finansowe pana nie są podobno świetne?

— Wcale nie — jestem w ciągłych kłopotach o zapłacenie moich licznych długów!

— Czy pani Davorn była zdrową, gdy pan wychodziłeś z jej mieszkania?

— Tak, ale niezmiernie rozdrażnioną!

— Dziękuję!

Podczas zeznawania Maurycego spostrzegł Briges detektywa Goringa i zbliżył się natychmiast do niego. Rozmowa ich była cicha, ale bardzo żywa, nikt jednak słowa jednego z niej usłyszeć nie mógł.

W końcu wezwano Vickerego.

Twarz jego, gdy stanął przed prezydentem była sinobladą, oczy zabiegły krwią a usta drżały tak, że z początku wcale mówić nie potrafił.

— Czem się pan zajmujesz? — zapytał przewodniczący.

— Jestem wynalazcą — brzmiała cicha odpowiedź Vickerego. — Poczyniłem już ważne wynalazki i obecnie zajmuję się problematem, którego rozwiązanie wzbudzi podziw całego świata. Chodzi tu o siłę pędową machin, o czem nikt dotąd nie ma pojęcia. Co do śmierci pani Davorn — rzekł nagle głośniej — to zdaje mi się, że ja sam mogę dać pewne wyjaśnienie.

Prezydent spojrzał na niego z zajęciem, umaczał pióro w atramencie i zawołał żywo:

— Mów pan! Prosimy!

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Publiczność cała była słowami świadka formalnie zelektryzowaną. Co to miało znaczyć? Jeżeli Vickery powiedział prawdę, to albo był świadkiem zbrodni, albo sam ją popełnił!

Inspektor Briges siedział jak skamieniały, policyant Metcalf otworzył usta z zdziwienia i wpatrywał się nieomal przerażonemi oczyma w siną twarz Vickerego, jedynie policyant Jung uśmiechnął się zadowolony. Wszakże on zaraz twierdził, że nikt inny jak Vickery był mordercą nieszczęśliwej kobiety!

Vickery stał się nagle dziwnie spokojnym, a głos jego, gdy zaczął teraz mówić, brzmiał donośnie po sali.

— Powiedziałem już — zaczął — że zajmuję się wynalazkami. Ostatnia moja praca sprawiała mi dużo kłopotu...

— Do rzeczy, do rzeczy — przerwał przewodniczący niecierpliwie.

— Zaraz! Miałem więc dużo kłopotu, bo zabrakło mi pieniędzy na wykończenie wielkiego dzieła. Wiedziałem, że zyskam ogromny majątek, jeżeli przeprowadzę eksperymenta, ale chwilowo nie miałem ani grosza a potrzebowałem około 20 tys. marek. Łamałem sobie głowę, zkąd dostać tej sumy, nigdzie jednak nie mogłem spodziewać się pomocy. W tym to czasie dowiedziałem się od pani Davorn, że cały jej majątek deponowany jest w banku, że każdej chwili może go odebrać i postanowiłem prosić jej o pożyczkę. Ale pani Davorn była w wielkiej obawie o majątek, którego połowę już straciła i nie chciała słuchać o moich planach. Musiałem jej nawet przyrzec, że nikomu w świecie nie powiem o tem, że ona ma jeszcze tyle a tyle tysięcy marek w banku.

Vickery odetchnął głęboko i otarł spocone czoło.

— Położenie moje — mówił dalej — stało się teraz wprost rozpaczliwem. Nie miałem środków na ukończenie moich doświadczeń, a to znaczyło dla mnie zupełną ruinę. Muszę jeszcze dodać, że od wielu lat miałem zwyczaj oddychania chloroformem, byłem cierpiącym na astmę i to jedynie ulgę mi sprawiało. Z czasem przyzwyczaiłem się tak do tego, że nie mogłem się już bez chloroformu obejść... Ponieważ mnie oddychanie owym płynem nic nie szkodziło, przeto myślałem, że innym też nic nie zaszkodzi... nie przypuszczałem jednak nigdy, że stanę się przyczyną takiego nieszczęścia...

— Dalej, dalej — wołał przewodniczący, gdy Vickery zamilkł na chwilę.

— Dnia 9 października wieczorem udałem się do mego pokoju, ale o spaniu mowy nie było. Rozważyłem moje smutne położenie i popadłem w prawdziwą rozpacz... Przechadzałem się po sypialni, usłyszałem na dole głośną rozmowę a raczej kłótnią, otworzyłem drzwi i usłyszałem wszystko, co pani Davorn mówiła do pana doktora Evansa. Sprzeczka ich była mi zupełnie obojętną, ale — dowiedziałem się, że w domu leży suma 75,000 marek w banknotach i wtedy powstało we mnie szalone pragnienie tej sumy! Za pomocą owych pieniędzy mogłem dzieło moje prędko ukończyć i oddać wszystko z procentem!

W sali zapanowała śmiertelna cisza. Po twarzy Vickerego spływały grube krople potu.

— Wiedziałem — mówił dalej, — że kradzież pieniędzy wydałaby się natychmiast, ale pokusa zanadto była silną. Sława i majątek nęciły mnie niezmiernie, i nie wiedząc prawie, co czynię, schwyciłem butelkę z kloroformem, nalałem znaczną jej część na gębkę i tracąc od ostrej woni przytomność, postanowiłem bądź co bądź pieniądze te — pożyczyć! Za dwa miesiące mogłem oddać trzy razy tyle! Zaczekałem, dopóki w domu wszystko się uspokoiło, potem chciałem iść do pokoju pani Davorn i przekonać się, czy śpi... Gdyby się zbudziła, zamierzałem ją odużyć kloroformem i poszukać pieniędzy — wszakże śpiącej nie groziło żadne niebezpieczeństwo, a nie wiedziałaby, kto pieniądze zabrał... Później byłbym jej całą prawdę wyznał... Przyznaję, że plan mój był szalony i nierozsądny, ale czyniłem wszystko pod wpływem kloroformu! Około trzeciej zeszedłem na dół, wsunąłem się do pokoju pani Davorn i uśpiłem ją za pomocą gębki... Otóż to miałem do powiedzenia! Jestem straszliwie ukarany — wyznałem przecież całą prawdę i czuję się spokojniejszym.

Po tych słowach zachwiał się Vickery i byłby upadł na ziemię. Ale Jung, nie spuszczający oka z niego, pochwycił go w swe silne ramiona i zaprowadził do krzesła.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

Na sali ogromne powstało zamieszanie. Prezydent przestał nawet ziewać, a sędziowie przysięgli odetchnęli swobodniej, będąc przekonani, że sprawa całkiem jest już wyjaśnioną.

Jung uważał siebie za prawdziwego bohatera i z wielką troskliwością pochylił się nad Vickerym, który zwolna odzyskiwał przytomność.

— Czy świadek może dalej zeznawać? — zapytał prokurator po chwili.

— Tak — szepnął Vickery i wstał natychmiast.

Jung wspierał go, gdy szedł ku stołowi.

— Pozwolisz pan — odezwał się teraz Briges do prezydenta — stawić mi kilka pytań?

— Owszem!

— Przyznałeś pan — rzekł Briges — zwracając się do Vickerego, że odurzyłeś panią Davorn kloroformem, powiedz nam więc jeszcze, czy wziąłeś jej pieniądze?

— Zdaje mi się, że wziąłem je — odrzekł Vickery drżącym głosem.

— Zdaje się? Co to ma znaczyć?

— Nie wiem, myślę, że wziąłem pieniądze, ale nie wiem, co się z niemi stało. Byłem nieprzytomny — nazajutrz nie znalazłem ich nigdzie. Gdy mnie policyant obudził, sądziłem z początku, że wszystko było snem tylko!

— Ale pieniądze?

— Przekonałem się jednak, że to nie sen, lecz okropna rzeczywistość!....

— Co się stało z pieniędzmi? — przerwał prezydent — pan nie wiesz, gdzie one się znajdują?

— Nie wiem!

— Słyszałeś pan, że drzwi twego pokoju były zamknięte na zewnątrz?

— Tak, słyszałem o tem. Policyant mówił mi, że były zamknięte.

— Więc jakim sposobem mogłeś pan wyjść z pokoju? Czy myślisz, że później dopiero, gdy już wróciłeś, przekręcił ktoś klucz w zamku?

— Tak pewnie będzie — wyjąkał Vickery. Zkądże ja mam to wiedzieć?

— A zatem nie możesz pan nas objaśnić o tem, co się po powrocie do twego pokoju działo?

— Nie.

— Mówiono panu, że pod poduszką zmarłej znaleziono gębkę zwilżoną chloroformem?

— Tak!

— Poznajesz pan swoją własność? — zapytał Briges, wyjmując z papieru gębkę.

— Tak, poznaję!

— Panie prezydencie — odezwał się teraz jeden z sędziów przysięgłych, zdaje mi się, że jest koniecznem, abyśmy zbadali dom pani Davorn, a przedewszystkiem pokój obydwóch lokatorów.

— I ja uważam to za konieczne — odrzekł przewodniczący. — Dlatego odkładam dalsze posiedzenie na godzinę czwartą po południu, bo wtedy przyjdzie też doktor Percival.

Publiczność ruszyła się z miejsca. Policyant Jung zbliżył się znowu do Vickerego, a czerwona twarz jego jaśniała wielkiem zadowoleniem. Wszystko, co się dotąd wydawało tajemniczem, było teraz zupełnie jasnem: Vickery zamordował i okradł panią Davorn! A chociaż może nie zamordował jej umyślnie, to jednak był winnym jej śmierci — jedno tylko jeszcze pytanie nie było rozwiązanem: co się stało z pieniędzmi zmarłej?

Najwięcej zdumiony był Maurycy. Wyznanie Vickerego zdejmowało z niego wszelkie podejrzenie i wracało mu wszelką wolność i swobodę. Ciężki kamień spadł z jego serca, a pierwszą jego myślą było teraz spieszyć do Alicyi.

Młoda dziewczyna nie chciała w żaden sposób uwierzyć w winę Vickerego. Uważała go zawsze dotąd za człowieka łagodnego, uczciwego i dobrodusznego, i nie mogła pojąć, aby on właśnie miał ukraść pieniądze ciotki i w dodatku zabić ją!

Detektyw Goring był pierwszym, który wyszedł z sali, a wyraz twarzy jego dziwnie był spokojny i niewzruszony. Nikt nie mógł poznać, czy zeznanie Vickerego zadziwiło go, czy też był nie przygotowany.

Sędziowie przysięgli udali się teraz pod przewodnictwem inspektora Brigesa na ulicę Feldpart, do domu pani Davorn. Najstarszy z nich szedł z Brigesem i wypytywał go ciekawie o wszelkie szczegóły, ale inspektor odpowiadał krótko i niechętnie i dał mu wyraźnie do zrozumienia, że pragnie się pozbyć natręta.

Z prawdziwym zapałem rzucono się do oglądania domu zmarłej. Jedni z sędziów przysięgłych starali się odszukać jakich śladów nóg na glinianej ścieżce, inni wpatrywali się w okno pokoju Steinwortha, ale nikt nie znalazł czegoś nadzwyczajnego. Inspektor Briges wskazał im okno parterowe z naciętem drzewem, potem wprowadził ich na piętro i pokazał zamki u drzwi, dowodząc, że nikt w świecie nie może ich zamknąć na wewnątrz. Przysięgli przekonali się o tem — od strony pokoju nie było w zamkach otworu dla klucza, jedynie zasuwka mosiężna.

— Ale można odjąć cały zamek na wewnątrz, — odezwał się jeden z przysięgłych — i potem znowu go przyszrubować. Nie jest to zbyt trudnem!

— Myśleliśmy też już o tem, — odrzekł Briges, — i dlatego sprowadził pan Goring bardzo zręcznego ślusarza, który dokładnie zbadał obydwa zamki. Przekonał on się jednak, że wszelkie szruby są z drugiej strony drzwi i z dołu, że więc z pokoju jest zupełnie niemożliwem odjęcie zamku, przekręcenie klucza i przymocowanie go. Zresztą ślusarz dowiódł nam, że szruby są z drugiej strony drzwi i z dołu, że więc z pokoju jest zupełnie niemożliwem odjęcie zamku, przekręcenie i przymocowanie go; dalej, że szruby są nietknięte od wielu, wielu lat!

— Chciałbym się sam o tem przekonać! Proszę, zamknijcie mnie panowie w pokoju pana Steinwortha, — rzekł sędzia przysięgły.

Prośbie jego uczyniono natychmiast zadość. Ale po kilku minutach dało się słyszeć głośne pukanie i Briges z uśmiechem otworzył drzwi.

— Masz pan słuszność, — rzekł przysięgły. — Próbowałem na wszystkie strony i widzę, że klucza sięgnąć nie można. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak szukać pomocnika Vickerego!

Co do spuszczenia się oknem z pokoju Steinwortha, to i tutaj poznali wszyscy, że mowy o tem być nie mogło. Deska z kwiatami stała na przeszkodzie, i nic nie zdradzało, aby ją ktoś był ruszył. Potem oglądano jeszcze pokój Vickerego i Alicyi, poddasze i parter cały i — nie znaleziono zgoła nic.

— Skończy się na tem, — rzekł Briges, — że trzeba uwierzyć Vickeremu, a co się tyczy zamkniętych drzwi, to zapewne uczynił to ktoś, komu zależało na tem, aby obydwaj lokatorowie nie opuszczali swoich pokoi. Może wszedł kto do domu po dokonanem morderstwie, albo może ukrywał się tu przez całą noc — w każdym razie musiał ów ktoś mieć jakiś cel, którego dotąd nie znamy — jakiś plan — i dla wykonania go chciał zapewnić sobie spokój. Takiem jest moje zdanie, ale nie narzucam go nikomu!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MAK.

Jak parobczak zuchowaty
W krakusce czerwonej,
On zaćmiewa inne kwiaty
Płatkami korony.
Smukły, dziarski i wysoki:
Swojska nasza krasa,
Zda się ujął się pod boki,
Jakby do wyrwasa.

Koło chaty, gdzie dziewczyna
Zasadziła kwiatki,
Do okienka wzwyż się wspina,
Zagląda do chatki.
Cichą mową dziewce dzwoni,
A mowa to zdradna,
Bo mak płochy szepce do niej:
„Jakażeś ty ładna!“

Czasem zmierzchem, gdy nów złoty
Przez chmur płynie stada,
Ktoś cichaczem między płoty
Pod okno się skrada;
Mignie lśniący pas Krakusa,
Błyśnie keirezyja:
Cmok! cmok! leci dźwięk całusa,
W echu się odbija.

Biada, maczku, wtedy tobie
I twym braciom biada!
Sroga klęska w onej dobie
Nagle na was spada!
Podepce cię chłopiec dziarski,
Padniesz pocichutku, —
Jakby cały ściar tatarski
Rozsiadł się w ogródku.

Ale makom ginąć błogo
Przy dźwiękach całusa,
Gdy przed zgonem patrzeć mogą
Na uścisk Krakusa.
Hej! aż listki kwiatom dzwonią,
Od miłości takiej! —
I konając okrzyk ronią:
„Wiwant Krakowiaki!“ *A. C.*

Wesele chłopskie w Małej Rusi.

(Do illustracyi albumowej).

W dalekich stepach południowej Rosyi mieszkają Małorusini w liczbie około 15,000,000; odznaczają się oni znacznie w mowie i zwyczajach od mieszkających na północy Wielkorusinów.

Nasza illustracya albumowa przedstawia epizod uroczystościowy z życia tego ludu, trudniącego się rolnictwem i hodowlą bydła. Młody pan pojechał ze swymi krewnymi do wsi sąsiedniej, aby młodą pannę zabrać na wesele. Wszyscy mieszkańcy przyłączyli się do orszaku weselnego: najprzód muzyka z gitarą, skrzypcami, tamburinem i dudami; za muzyką para młoda: młody pan z radości wykrzykując, trzyma w górę swą kwiatami ozdobioną czapkę, młoda panna jedzie skromnie obok niego, mając na głowie strój w kształcie djademu. Dalej jedzie dziedzic na wspaniałym siwku, a za nim gromada wieśniaków i wieśniaczek, wszyscy na koniach, z chorągiewkami przyozdobionemi w bukiety. Tak zbliża się orszak weselny do wsi kościelnej, aby tamże wziąść udział w uroczystości kościelnej i w godach weselnych sercem całem. *— ski.*

Kronika.

Niebywałą poprzedzony reklamą cyrk pp. Barnuma i Bailleygo przybył w sobotę rano do Poznania. Tłumy ciekawych biegły już z rana za bramę Rycerską, ażeby się przypatrzeć dwónożnym i czworonogim gościom rozmaitego gatunku. Z niepojętą prawie szybkością i sprawnością porozpinano ogromne namioty, powznoszono wewnątrz trybuny, rozmieszczono zwierzęta do popisu przeznaczone. Pomimo niepogody i słoty w kilka godzin po przybyciu wszystko już było gotowe. Z równą szybkością przemyślni Amerykanie zniknęli wraz z namiotami i całym taborem po przedstawieniu niedzielnem; około północy plac cyrkowy znów przemienił się w pustkowie głuche, bez życia, a przedsiębiorcy cyrkowi unoszeni siłą pary z grodu Przemysława liczyli po drodze wyłudzone reklamową wrzawą setki, tysiące i dziesiątki tysięcy. Poznań dostarczył cyrkowi w owych dwóch dniach przeszło 100,000 mk. zbioru — oto zdobycz amerykańskiej przebiegłości.

Właściciele cyrku wiedzą dobrze, że każdą rzecz przechwalić można tak, że ludzie w końcu w nadzwyczajną jej wartość uwierzą.

W istocie zaś niebyło w cyrku żadnych popisów, któreby nazwać można niebywałą osobliwością lub któreby choć w przybliżeniu dorównywały szalonej reklamie.

Było podobno dużo koni dość miernie wyćwiczonych i dobrze wytresowanych słoni, ścigały się psy, a nawet świnie, balansowali na linach akrobaci, błaznowali klownowie — i oto główna treść widowiska, na które zaraz pierwszego dnia pospieszyło kilkanaście tysięcy mieszkańców Poznania i prowincyi. Co wszakże w pewne żdziwienie wprawiało, to niezmiernie ścisła organizacya, punktualność, no i ogrom widowni.

Publiczność polska, pomimo zlekceważenia narodowości naszej przez amerykańskich przybłędów, dopisała ogromną cyfrą, a przecież niepotrzeba nam wcale specyalnych widowisk, bo na okół siebie widzimy jeden wielki cyrk, którego przedsiębiorcami stałymi są różnej kategoryi polakożercy. W tym cyrku widzimy prawdziwe osobliwości: popisują się klowny antypolskie, wywijają trąbami słonie, linoskoki wyprawiają rozmaite „patryotyczne“ koziołki no i uganiają się niezwykłej rasy stworzenia nierogate chętnie ryjące we własnym paskudzie.

To cyrk nielada, na który patrzymy codziennie i który nam powinien odbierać ochotę do innych pospolitszych cyrkowych spektaklów.

Cóż kiedy natura polska taka ciekawa, że idzie za głosem każdej reklamy obwieszczającej jakąś nowość, choćby w najsmutniejszych czasach. A czasy są rzeczywiście smutne. Germanizacya coraz bardziej wytęża siły, kolonizacya pruska znów ostrzy zęby na liczne spore kawały polskiej gleby, a na tej glebie plon tegoroczny zastraszająco się przedstawia. Gdziekolwiek zapytać, kogokolwiek zagadnąć, zawsze słyszy się biadanie na klęskę nieurodzaju i rozpaczliwie brzmiące słowa „co to będzie?“ Czego nie ściął mróz, to zniszczyła posucha. Brak ziarna, brak słomy, brak paszy. Podaż majątków wielka, nabywców strasznie mało. Kolonizacya tylko sięgać może bez skrupułu do zasobnego worka i zagarniać, co się da, na lepsze czasy.

Nie mniej skarg słyszy się w mieście. Grunty spekulacyjne przestały być przedmiotem żywego targu, budowy mało, a robotników żądających pracy coraz więcej. Upust sił roboczych na zachód z powodu przesilenia industryjnego w Niemczech zaparł się stanowczo, może na długo, w ojczystych stronach rąk do pracy dosyć, ztąd grozi bezrobocie i głód. I już snują się bezrobocze gromadki, zmawiające się do kradzieży.

„Będziemy okradali od jednego końca miasta do drugiego“, oto słowa, które niedawno posłyszał z ust robotników mularskich jeden z przyjaciół naszego pisma. Tak więc nietylko na wsi, ale i w Poznaniu zła się zapowiada wróżba pod względem ekonomicznym, materyalnym. A pod względem narodowym polskim, pod względem naszych moralnych potrzeb i pragnień? Mój Boże! Toż za dwa tygodnie rozgrywać się będzie w Gnieźnie proces z powodu zajść wrzesińskich, proces o wybuch zrozpaczonych matek, których dzieci do niemieckiej nauki religii chłostami cielesnemi przynaglano. Dwadzieścia i trzy osoby (8 matek i 15 ojców) zasiądą na ławie oskarżonych, a choć ich serca rodzicielskie, właśnie dlatego, że do narodowości swej żywo przywiązane, biją niezawodnie szlachetnem tętnem, to któż wie, czy oskarzeni nie ulegną surowej karze za to, że podług swego serdecznego rodzicielskiego zrozumienia i uczucia stanęli w obronie swych dzieci? A zanim się ten proces zakończy, może już ustanowią termin na rozsądzenie sprawy gostyńskiej, której wynik zapewne także dla polskości nie będzie korzystny. Gdy się zaś doda do tego wszystkiego zapowiedziany na dzień 9 września proces w Toruniu przeciwko naszym gimnazyastom, to trudno nakierować myśl do weselszych kronikarskich zapisków, a pióro pięć razy zaschnie, zanim z kałamarza trochę humoru wyłowi.

Żeby przynajmniej teraz, gdy bramę Berlińską rozbiorą, wszyscy polakożercy wynieśli się z miasta, w którego murach się zagnieździli i tak uporczywie się plenią! Łudziłem się, że się zabrać dadzą wraz z menażeryą pp. Barnumowi i Bailleyowi po przedstawieniach danych w Poznaniu. Ale gdzie tam! Menażerya amerykańska pojechała, a europejska została. *Chochlik.*

†

Nekrologia.

S. p. Jan Rutkowski.

Z Warszawy donoszą o śmierci nader zdolnego nowelisty, współpracownika „Kuryera Warszawskiego“, Jana Rutkowskiego. Urodzony w roku 1859, ukończywszy nauki gimnazyalne we Warszawie i Piotrkowie, uczęszczał na wydział prawny i fizyko-matematyczny uniwersytetu warszawskiego, poczem był uczniem paryzkiej „Ecole libre de sciences politiques.“ W r. 1884 rozpoczął swą działalność literacko-dziennikarską, obdarzony szczerym talentem nowelisty. W tym rodzaju były jego nowele: „Więciorkówna“, „Piekiełko“, „Sklepikarz“, „Pajęczyna“ „Panna Starsza“, „Jesienią“, „Etyka Szymkowa“, „Czepeczek panny Izy“, „Słońce zagasło“, „Piosnka wenecka“, „Testament Hopkinsa“ i t. d. Wszystkie te utwory znamionowały umysł bystry, jasny, umiejący głębiej patrzeć na świat i życie. Zapowiedź to była na powieściopisarza o głębszym duchowym pokładzie.

Gdy ujął w rękę pióro, jako dziennikarz, zabłysnął od razu bystrością poglądu, szerszem pojęciem, szybką oryentacyą. Więc z uśmiechem na ustach, z wiarą w siebie rozpoczął pracę, wezwany w roku 1887 do redakcyi „Kuryera Warszawskiego“, gdzie odznaczył się w dziale „Małego feletonu“ i „Kronik niedzielnych“, podpisywanych pseudonimem Jana Olbrachta.

Umarł na gruźlicę płuc. Dziennikarze warszawscy, a z nimi i inni Polacy żywo odczuli stratę nader zacnego kolegi.

Cześć Jego pamięci, spokój Jego duszy!

Wiadomości.

Portret Patrona Maksymiliana Jackowskiego wykonany artystycznie na kartonie — mogą Czytelnicy nasi nabyć z Ekspedycyi naszej za nadesłaniem 50 fen.

Prosimy adresować: „Praca“ Poznań (Posen.)

— Baczność! Nowo przybyli abonenci otrzymają bezpłatnie prócz początku drukujących się powieści wszystkie te numery „Pracy,“ w których dotychczas zamieszczony był malowniczy opis Wielkopolski, jeżeli nam nadeślą na dowód kwit abonamentowy oraz znaczek 20-to fenygowy na portoryum.

— **Drobne** inserata czyli ogłoszenia przyjmujemy tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości z góry.

Administracya „Pracy.“

— **Do skompletowania** kwartalników potrzebne nam są numery: 19, 22, 24 i 25 z r. b. — Szanownych Czytelników prosimy o łaskawe nadesłanie nam takowych, za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

Każdy korespondent powinien zwracając się do nas podawać swój dokładny adres. Tylko wyjątkowo możemy dawać odpowiedzi w piśmie.

— **Wiec parafialny** w Gołuchowie w sprawie języka polskiego i szkolny odbył się w ubiegłą niedzielę po południu. Przemawiali na nim pp. Wł. Grabski, Maryan Szuman i Klemens Borowski wszyscy z Gołuchowa. Przewodniczącym był ks. proboszcz Jeżewski z Gołuchowa.

Uchwalono następujące rezolucye:

Zebrani na wiecu w Gołuchowie Polacy uchwalają zbiorowe przystąpienie do Towarzystwa Samopomocy, które się na wiecu w Pleszewie zawiązało, a które ma na celu:

1) Rozpowszechnianie polskich elementarzy, polskich katechizmów i polskich książek do czytania.

2) Czuwanie nad tem aby:

a) w każdym polskim domu dzieci umiały czytać i pisać po polsku;

b) każda matka uczyła dzieci swoje pacierza i prawd naszej wiary św. w polskim języku;

c) rodzice dbali o to, by dzieci znały i umiały śpiewać polskie pieśni kościelne i świeckie.

— **Wiec polsko-katolicki** odbył się w Berlinie w ubiegłą niedzielę z udziałem około 300 osób płci obojga. Celem wieca było naradzenie się, w jaki sposób skłonić władzę duchowną, aby dzieci polskie przygotowywano do Sakramentów św. w języku polskim. Wiec zagaił prezes komitetu p. Władysław Berkan, przewodniczącym wybrano wydawcę „Dziennika Berlińskiego“, p. Ludwika Wróbla, sekretarzem p. Janiszewskiego. Pierwszym mówcą był pan Wł. Berkan, który w wyczerpującym referacie wykazał, że dzieci polskie koniecznie powinny być przygotowane przez księży do spowiedzi po polsku. Następny mówca p. Janiszewski kładł główny nacisk na naukę w domu, gdyż od księży nie wiele można się spodziewać. P. Molski na podstawie własnego doświadczenia zapewniał, że księża na razie oporni, w końcu wobec energicznych życzeń ustąpią. Przemawiali jeszcze pp. Kowalski, Haszkiewicz, Słożyński, Froehlich, Krzemieniewski i Głowacki, a nadto panie Molska i Dworkowska. W końcu wybrano deputacyą, która uda się do delegata biskupiego i przedłoży mu życzenia Polaków. Jak donosi „Dziennik Berliński“, wręczono już komitetowi blisko 200 podpisów rodziców, pragnących, by dzieci ich pobierały naukę przygotowawczą po polsku.

— **Polacy na obczyźnie.** W Steele odbył się 21 z. m. wiec polski, na którym uchwalono rezolucyę w sprawie opieki duchownej. Pan W. Funtowicz z Essen zobowiązał się ks. dziekanowi dostarczyć adresów kilku księży Polaków, którzyby chętnie raz po raz przyjechali, byleby tylko ich ks. proboszcz zaprosił.

Potem omawiano jeszcze ogólne położenie Polaków na obczyźnie.

— **Pan dr. Stasiński**, okulista, przy placu Piotra nr. 4 w Poznaniu, wyjechał dnia 27-go z. m. Zastępca przyjmuje od godziny 10—11-tej przed południem.

— **Szanownym Czytelnikom**, a mianowicie pp. ceglarzom zwracamy uwagę na anonsowaną cegielnią, którą od Banku Parcelacyjnego w Poznaniu na Piekarach nr. 18 pod korzystnemi warunkami nabyć można.

— **Zwracamy** baczną uwagę Towarzystwom, Kołom familijnym i t. d. Kruświcy i okolicy na restauracyą „pod Myszą wieżą" tuż przy jeziorze Gople położoną z pięknym ogrodem, z kręgielnią i salą do tańca. Właścicielem jest przedsiębiorczy i ruchliwy rodak nasz, p. M. Degórski, zasługujący na gorące poparcie.

— **Na odbudowanie** wieży na Jasnej Górze złożył w dalszym ciągu p. M. Szymczak z Krotoszyna 5 mrk.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 566 mrk. 49 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Na fundusz** imienia Janiny Omańkowskiej złożył w dalszym ciągu p. P. Giera z Smigla 3 mrk.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 456 mrk. 42 fen. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu „Samopomoc" 403 mrk. 19 fen., pozostają zatem u nas 53 mrk. 23 fen.

— **Ostrowo p. Gębice.** Bank Parcelacyjny z Poznania, Piekary 18, kupił wieś Ostrowo, przeszło 800 mórg pięknej ziemi i będzie majątek ten parcelował.

Ostrowo leży nad jeziorem i pięknym lasem królewskim, milę od miasta Strzelna, ma kościół, szkołę, kilka składów i oberżą dominialną. Prócz kilku bytnerek, kuźni i gospodarstw po 60 mórg, ma być utworzony folwark 300 morgowy.

— **Kolonia.** Szanowną Redakcyą proszę uprzejmie w piśmie Swem zwrócić uwagę podróżującej publiczności na to, że w Kolonii nad Renem w hotelu „Pariser Hof" ul. Breitestrasse są za staraniem Towarzystwa „Skały" wyłożone następujące pisma: „Praca", „Goniec Wielkopolski", „Nowa Reforma", „Zgoda" z Chicago i humorystyczne pismo „Djabeł,"

Myślę, że szanowna Redakcya przysłuży się powyższą wzmianką wielce, gdyż nieraz się słyszy ubolewanie podróżujących Polaków na to, że w podróżach swych nie mają sposobności czytania pism polskich.

Z poważaniem

Tadeusz Koraszewski.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Czołem!** Postanawiając zlot żupy północnej na dzień 28-go lipca r. b. zapomnieliśmy, że w tym samym dniu odbędzie także okręg środkowy zlot swój w Gostyniu.

Ponieważ poszczególne zarządy i wielu druhów tak w tej, jako i w tamtej uroczystości udział wziąść pragną, dlatego postanowiliśmy zlot żupy północnej odłożyć na dzień 8-go września r. b.

Uwiadamiając o tem wszystkie gniazda, ponawiamy prośbę, aby jak najwięcej druhów przybyciem swem do Witkowa do uświetnienia uroczystości naszej się przyczyniło. Wydział Sokoła w Witkowie.

Od Redakcyi.

Panu Hark.... w Wrocławiu. — Myśl ta w zasadzie nie dałaby się wykonać we wszystkich instytucyach, bankach, kantorach, gdzie jest wielka ekspedycya listów itp. W prywatnej komunikacyi możnaby tak postępować, ale i taka procedura nie przytarłaby rogów hakatyzmowi pocztowemu.

Panu A. M. w Bytomiu (G. S.) — Anonse, ogłoszenia itd. należą do administracyi „Pracy", odpowiedzialność też za nie nie bierze redakcya, tylko administracya naszego pisma. Sprawę tę daliśmy do rozpatrzenia administracyi naszej, która w przyszłości zastosuje się do słusznych uwag Szanownego Pana. Anons wiadomy musi być zamieszczony jeszcze kilkanaście razy, gdyż kontrakt zawarty na rok cały, a należytość zapłacona z góry.

Panu J. S. w Łabiszynie. Pruska władza policyjna może Pana nie tylko zmusić do kupienia katechizmu niemieckiego dla dziecka, ale jeszcze i do innych rzeczy, bo w naszem państwie konstytucyjnem ma policya większą władzę, jak w niektórych państwach niekonstytucyjnych.

Nadesłane do redakcyi książki:

Historya i geografia Polski w króciuchnym zarysie dla dzieci polskich. Ułożył Józef Chociszewski. Gniezno 1901. Nakładem autora.

Dziełko to jest bardzo popularne i bardzo przystępnie dla dzieci opracowane i w liczne illustracye zaopatrzone. Każde dziecko powinno posiadać tę książeczkę. Na nic się nie przyda elementarz, jeżeli się nie da dziecku także książeczek historyi i geografii Polski. Cena 10 fen. z oprawą 20 fen.

W październiku 1901 r. wyjdzie druga część Historyi i Geografii, ozdobiona 30-tu obrazkami, pod napisem:

„Polska Porozbiorowa." Króciutki zarys dziejów naszego narodu od 1795 do 1900 r., oraz najważniejsze wiadomości z Literatury polskiej. Ułożył Józef Chociszewski. — Cena 10 fen. z oprawą 20 fen. na przesyłkę dopłaca się 5 fen. — 10 oprawnych egzemplarzy 2 mrk., ($2^1/_2$ korony) — 25 opraw. egz. 4 marki (5 koron).

Dzieje Polski porozbiorowe są bardzo ważne, pouczające i ciekawe, a przyznać trzeba że właśnie ten okres naszej przeszłości jest najmniej znanym. Z powodu wielkiej ważności tego przedsięwzięcia uprasza się o jak najliczniejsze zamówienia pod adresem: J. Chociszewski, Gniezno (Gnesen).

Toruński elementarz polski z obrazkami zastosowany do potrzeb dzieci, uczących się w szkole tylko po niemiecku. Toruń. Nakładem i czcionkami S. Buszczyńskiego.

Elementarz ten należy do najlepszych, więc powinien się znajdować w każdym polskim domu. Cena 10 fen.

Szarada (do nagrody).*)

(Ułożyła Emilia Jaworska.)

Wspak drugi dobrzy rodzice wciąż mają,
Chcąc, by ich dziatki wyrosły „na ludzi,"
Lecz choć im rady swoje powtarzają,
Nie jeden wszystek próżniactwem się łudzi.
Dwa razy pierwsza powiada: mój synku,
Bądź zawsze miłym, posłusznym i pilnym,
Myśl, że o każdym twym Bóg wie uczynku,
Że w trudzie nauk trzeba być usilnym.
Nie zbijaj bąków w szale niedorzecznym,
Nie goń za wiatrem, jakby drzewa listek,
On jej nie słucha i wciąż jest niegrzecznym.
A każdy mówi, nieznośny ten wszystek!

Rozwiązanie szarady z nr. 25-go:

„Pikulina."

Za dobre rozwiązanie otrzymała nagrodę przez wylosowanie pani Julia Lillówna z Czerniowiec w Galicyi.

*) Przeznaczamy za dobre rozwiązanie jedną nagrodę t. j. książkę wartościową. Los roztrzygnie komu nagroda wyznaczoną będzie. Rozwiązania przyjmujemy do 8 sierpnia włącznie. Dla oszczędzenia portoryum prosimy nadsyłać rozwiązania na kartach pocztowych.

Humorystyka.

DWÓCH MAJSTRÓW.

(Szewsko-krawiecka ballada.)

Miał tatulo synów dwóch,
Jeden gapa, drugi zuch;
Młodszy, głupi, krawcem był,
Starszy mądral buty szył.

Odkąd w butach chodzi świat,
Nie kochał tak brata brat,
Jako krawiec szewca czcił
Z całej duszy, z całych sił!...

Kupił sukno, igły, nić,
Zaczął mu kapotę szyć;
Codzień bratu miarę brał, —
Z przykrawaniem kłopot miał...

Co uszyje — dyabłu rzuć!
Musi znowu całą pruć,
Raz za wązka, drugi raz
Słoń-by sam w kapotę wlazł!...

Szyje roczek, dwa i trzy,
Napsuł sukna, popruł szwy,
Złamał igieł z tysiąc już,
A z kapotą ani rusz!...

W szewską pasyę wpadł już brat,
Gdy minęło kilka lat,
Więc by uczcić bratni trud,
Uszył bratu — jeden but.

Ale był to but na schwał,
Co przynajmniej sążeń miał,
Z oślej skóry cały był, —
Szewc go trzy tygodnie szył!

W święto stawił go na wóz
I olbrzyma bratu wiózł;
Biegli ludzie z całej wsi
I wołali: „Pi, pi, pi!..."

Zleciał się dokoła lud,
By podziwiać taki but;
Krawiec z igły wywlókł nić,
Rozwarł gębę, przestał szyć.

„Co to — pyta — znaczy się?
Jeden but?... a drugi gdzie?
Taki z ciebie majster, ha?...
Butów przecie bywa dwa!...“

Na to szewc: „Braciszku mój
Wiozę dar za nowy strój;
Przy tym bucie stań tu wraz,
Będzie właśnie... para z was!...“

Zrobiłże się krawcu wstyd,
Jak piwonja z sromu kwitł,
Gdy braterski poznał żart;
Majster partacz — buta wart!

g.

Skuteczne lekarstwo na muchy.

Jędrzej Magdziarz był chłop bardzo mądry, cała też wieś podziwiała mądrość jego, jedno go tylko gniewało, że gdy wszyscy go szanują i słuchają, małe muchy tak są bezczelne, iż przeszkadzają mu w poobiednim spa — chciałem powiedzieć: czytaniu. Raz tedy rozgniewany powiedział do żony:

— Niema rady — muszę kupić trucizny na te bestye.

I poszedł do miasta, do apteki. Aptekarz daje mu papier i powiada, aby go zamoczył i na talerzach porozkładał w izbie, a muchy będą siadywać na papier i zatrują się.

— Ba! — powiada Jędrzej, patrząc na papier — pan pewnie myślisz, że masz głupiego przed sobą! Muchy przecież nie pójdą na ten papier, jak zobaczą napis — a tu na każdym kawałku jest napisane: „Trucizna“ i po niemiecku „Gift“ i jeszcze tam jakiemiś językami. Daj mi pan lepiej takiego proszku, którybym mógł muchom zadać.

Aptekarz, uśmiechnąwszy się pokazuje biały proszek.

— Jak się go muchom zadaje? — pyta Jędrzej.

— Otóż widzicie — odpowiada aptekarz — trzeba delikatną szufelkę zrobić z pióra i jak muchę schwycicie, to jej tego proszku tą szufelką nasypcie w pyszczek — a po dwóch godzinach zdechnie mucha z pewnością!

— E — powiada Jędrzej — to wolę ją zgnieść w palcach, jak ją schwycę.

— To też dobry sposób! — zauważył aptekarz i Jędrzej poszedł z kwitkiem do domu.

* * *

Prawdziwy antyk.

(Rzecz dzieje się w składzie mebli).

— Czy ten fotel naprawdę antyk?

— Najprawdziwszy panie! Kiedy go kupiłem był tak zjedzony przez robaki, że musiałem dorobić nową poręcz, nowe siedzenie i nowe cztery nogi... Taki to stary mebel!

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ Wincenty Szmytkowski.

Łyżka.

Pewien żydek stał na jarmarku z wózkiem pełnym łyżek, zachęcając publiczność do kupna.

— No cóż Izaak, jak ci tam idzie? — zapytał go współwyznawca.

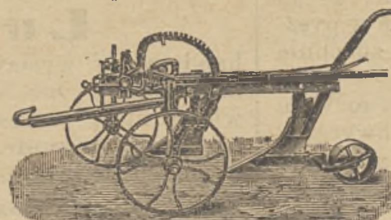
— Co ma iść — odparł zniecierpliwiony — rychtyg jak choremu, co godzinie po łyżce.

Nowy stalowy dwuskibowiec

„Record”

konstrukcya urzędowo zastrzeżona
pod Nr. 152 632. 515

Nowość!



Dostawa na próbę!

Stawidło rożniczkowe do patentu podane.
Ulepszone stalowe odkładnie, lemiesze i płozy.
Na konkurencyi pługów, odbytej 18 Czerwca r. b. w Przeworsku (Galicya), uzyskały nasze pługi z pomiędzy kilku innych niemieckich i austryackich fabryk, pierwszą nagrodę.

H. Cegielski, Tow. akc.

w Poznaniu.

Antoni Rose,

Poznań—Bazar

poleca

Wielki wybór tapet

od 15 fen. za rólon począwszy, wszelkie **dekoracye, borty, rozety sztukowe.** Znane z trwałości lincrusta — tapety oraz **linoleum** pierwszorzędnych fabryk.

Papier transparentowy „Diafania" na szkło.
!!!Wszelkie próby na żądanie franko!!!

Skład materyałów piśmiennych.
Zakład litograficzny i drukarnia.
Fabryka wyrobów papierowych, książek kontowych i rejestrów gospodarczych.

Plakaty, etykiety, dyplomy,
karty wizytowe itd.
wykonuje się spiesznie i akuratnie po najtańszej cenie. 314

Naszą

Cegielnią

(piec na 40 tysięcy cegieł)

z obszarem 10 Ha 18 Ar 16 □m czyli 40 mórg roli z dobrym pokładem gliny, z domkiem i nowo pobudowaną murowaną stodołą i stajnią, dwoma szopami, nad rzeką spławną, tuż przy mieście na prowincyi, 1 godz. jazdy koleją od Poznania, sprzedamy zaraz za 24,000 mk. przy wpłacie 5—6000 mk. 526

Bank Parcelacyjny

w Poznaniu, na Piekarach 18.

Wyjechałem w sobotę
dnia 27 b. m.
Zastępca przyjmuje **od godziny 10—11 przed południem.** 519

Dr. Stasiński

okulista,
plac Piotra nr. 4.

Ból zębów spróchniałych usuwa natychmiast **„Kropp'a wata do zębów."** (20% waty Carvacrol). Za flaszkę 50 fen. u B. Sniegockiego i Th. Müllera. 154

Dobrze zaprowadzony

handel cygar

jest pod bardzo korzystnemi warunkami do sprzedania. Of. pod lit. Z. Z. nr. 513 do ekspedycyi „Pracy". 513

Poszukuje się od zaraz doskonałej, samodzielnej 512

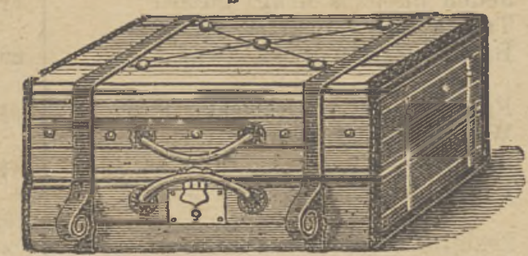
dyrektryzy

do polskiego składu stroji.

Zgłoszenia do ekspedycyi „Pracy" pod lit. H. nr. 512.

Przyjmę 517
elewa gorzelniczego
lub też
podgorzelnika.
Kandydat nie za młody, z lepszemi wiadomościami szkolnemi ma pierwszeństwo.
Bolesław Dąbrowski,
zarządzca gorzelni,
Przysieka Niem. (D. Presse)
p. Kościan — Kosten.

Szanownym mym odbiorcom, którzy czekali na te bardzo dobre
kufry fałdowe



donoszę uprzejmie iż wykończono w własnym warsztacie, mam znów na składzie. 704

N. Wolniewicz,

siodlarz w Bazarze.

Obowiązkiem każdego
jest żądać w składach mydło z fabryki

St. Żychlińskiego w Gnieźnie.

Mydło jest tylko wtenczas dobre, jeśli na każdym kawałku wytłoczone 42
St. Żychliński, Gniezno.
Hygieniczne mydełko-lanolin. upiększa i konserwuje płeć.



Premiow. w Krakowie 1900 na wystawie Przyrodniczo-lekarskiej.



„Deutsche Wirtschaft"

Niemcom, co sławiąc swe cnoty,
Wznosili dumnie wciąż głowę,
Dają dziś wiele roboty
Szwindle i krachy bankowe.
„Polnische Wirtschaft" w Berlinie —
Kochane było to zdanie —
Dziś to przysłowie zaginie,
A „Deutsche Wirtschaft" nastanie.

Zakład dentystyczny

C. Ogiński,

Poznań, św. Marcin nr. 68, I.
Przyjmuje od 9—1 i od 3—6. 261

Gospodarstwo

w powiecie tucholskim, około 250 mrg. znakomitej ziemi, z nowemi budynkami i kompletnym inwentarzem, mamy na sprzedaż pod korzystnemi warunkami, przy zaliczce 8,000 talarów. 338

Bank Ziemski w Poznaniu

ul. Wiktoryi nr. 2.

Prima prósze torfowe, mąka torfowa, torf do palenia — dostarcza z powodu korzystnego położenia jak najtaniej 380

Gosewisch & Rischbieth,
fabryka prósza torfowego,
Neustadt a. Rbge. (Hannover)

Który Polak

zechce, rodakowi prowadzącemu dobrze prosperującą mniejszą księgarnię mającą najlepsze widoki powodzenia w wielkiej miejscowości górnośląskiej, dopomódz **1000 do 2000 marek.** Łask. oferty uprasza się pod literą **B. D. nr. 522** do Ekspedycyi „Pracy". 522



Obraz cudowny Matki Bozkiej Częstochowskiej.

Album „Pracy.“ Drukiem „Pracy.“